№ 47. Warszawa, dnia 19 (7) Listopada 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

DWAJ OBYWATELE.

Najnowsza historya Prus przedstawia jeden z niezwykłych, chociaż dziejom znanych obrazów, w których osoba monarchy usunięta na plan odległy, prawie całkiem niknie po za potężną postacią występującego naprzód, niezwykłą władzą opatrzonego ministra. Od lat piętnastu, to jest od chwili, w której geniusz Bismarka błysnął po raz pierwszy niezwykłą jasnością, widzimy spełniający się pod jego imieniem szereg wielkich aktów politycznych, wobec których cesarz Wilhelm pełni tylko bierną rolę niemego patrona. Bismark zdobył Holsztyn i Szlezwig, Bismark rozbił Austryę, Bismark pokonał Francyę, Bismark zjednoczył Niemcy, Bismark wyniósł je do godności cesarstwa. Bismark zmienia ministrów i ambasadorów, Bismark zawiera przymierza zewnętrzne i przekształca państwo wewnętrznie — tak głosi opinia publiczna, której wpływowi uległy nawet przywykłe do przestrzegania etykiety w wyrażeniach organy urzędowe. W całej prasie świata jeden może tylko *Staatsanzeiger* trzyma się dawnej formy i stale zapisuje na rachunek swego cesarza wszystko to, co z jego sankcyą ukazywać się winno. Gdy sejm zagłosuje jakieś prawo, tysiące gazet zawiadamia, że nową ustawę zatwierdził Bismark, a jeden *Staatsanzeiger* — że ją zatwierdził cesarz Wilhelm. Zdawałoby się napozór, że sam ten dziennik tylko pozostał wiernym dynastyi Hohenzollernów, że panowanie ich głowy skurczyło się do arkusza urzędowego papieru, że na tronie niemieckim siedzi człowiek albo niezaradny, albo nieszczęśliwy, obezwładniony przez swego ministra. Tymczasem tak nie jest. Cesarzowi Wilhelmowi nie brak ani pewnej umiejętności rządzenia, ani energii, zwłaszcza tej energii, jakiej potrzeba do zachowywania i wykonywania praw korony. Gdyby chciał, zdołałby każdej chwili z największą łatwością usunąć swego kanclerza i ująć w swe ręce ster państwa a kierował by nim nie gorzej, od innych władców europejskich. Owszem, nietrudno byłoby mu nawet okryć się chwałą swych pomocników wojskowych i cywilnych, których Niemcy posiadają dziś w obfitej liczbie i w dobrym gatunku. Obecna chwila, w której kraj rezultatem wyborów oświadczył się jak nigdy przeciw ks. Bismarkowi, dostarcza monarsze wyborną sposobność do pozbycia się zbyt wyrosłego pełnomocnika, do odzyskania władzy i uroku na jego korzyść straconych. Niepodobna przytem twierdzić, ażeby cesarz Wilhelm zrzucał z siebie dobrowolnie ciężar rządów przez chęć wygodnego, wolnego od trosk życia. Nie przedstawia on bowiem tego często w dziejach powtarzającego się typu władców słomianych lub w roskoszy zatopionych, którzy sadzają na tronie zastępcę a sami swobodnie i gnuśnie piją pełnymi kielichami mniej lub więcej czyste uciechy. Przeciwnie, cesarz niemiecki zajmuje się ciągle sprawami kraju, nie puszcza ich mimo uszu, ze wszystkiem jest doskonale obznajmiony, nieraz nawet ponosi dotkliwe ofiary ze swoich osobistych uczuć i przekonań. Więc dla czego zadawalnia się bierną rolą chrzciciela działań przez kogo innego zrodzonych a w obrębie jego władzy leżących? czemu zrzeka się praw i zaszczytów korony? czemu obojętnie patrzy na wszechmoc swego ministra i na przyznawane mu tytuły najwyższych przywilejów? czemu dla niego poświęca siebie? Odpowiedź na te wszystkie pytania krótka: cesarz Wilhelm jest prawym obywatelem swego kraju. Z tym zaszczytem, doprawdy nie najmniejszym, powinien on przejść do historyi. Potrzeba niezwykłego charakteru, ażeby tak dobrowolnie dla dobra narodu zrzec się praw swego wysokiego stanowiska, ażeby pod purpurą zachować tyle poczucia obywatelskiego, ażeby, właściwie mówiąc, ustąpić faktycznie tronu geniuszowi, i nie będąc niedołężnym, pozostać biernym monarchą. Nie zmiejsza wcale jego zasługi ta okoliczność, że ów obdarowany minister niezawsze był dobroczyńcą narodu, niezawsze dorósł do swego zadania, niezawsze szedł z prądem cywilizacyi i kierował się sprawiedliwością — te błędy i grzechy obrzucają cieniem tylko jego imię, nie zaś tego, który mu je blaskiem otoczyć pozwolił. Cesarz Wilhelm spełnił niezwyczajnie swój obowiązek, ustępując władzę zdolniejszemu od siebie; ks. Bismark zda z niej przed teraźniejszością i przyszłością rachunek. A cokolwiek mu one przyznają, cesarz niemiecki pozostanie zawsze władcą — obywatelem.

Nie licząc królowej Wiktoryi, która, jako kobieta, bardziej do podobnej cnoty stworzona, dziwnym trafem Europa przedstawia nam nader pokrewny poprzedniemu objaw godnego obywatela we Francyi. Od lat dziesięciu wyrasta w niej szybko człowiek, który najczynniej działa nawet wtedy, gdy nie jest powołanym, i który na podobieństwo ks. Bismarka rozszerza zakres swych praw kosztem naczelnika państwa. Jeszcze Gambetta był deputowanym lub prezesem Izby, a więc od pola władzy wykonawczej odsuniętym, kiedy prasa europejska podpisywała jego nazwiskiem wiele ważnych czynności rządu francuskiego. On — jak głoszono — zawierał przymierza zewnętrzne, on znosił zakony, on kierował polityką gabinetu. A cóż Grévy? Grévy piastował godność prezydenta rzeczypospolitej francuskiej i... pozwalał działać zaćmiewającemu go geniuszowi. Podczas rozpraw w Izbie nad projektem głosowania z listy dzienniki dużo paplały o

zawziętej nieprzyjaźni Grévego dla Gambetty. Ażeby cóśkolwiek ustąpić tej pogłosce, przypuśćmy, że pomiędzy dwoma kierownikowi Francyi istnieją pewne sprzeczności. Czyż one jednak pobudziły Grévego do walki ze zdolniejszym współzawodnikiem i pominięcia go w chwili, gdy naród przez wybory jemu największą ufność okazał? Bynajmniej. Grévy natychmiast powołał Gambettę do utworzenia gabinetu, jak tylko Izba wskazała na tę godność swego byłego prezesa. Ażeby oddać sprawiedliwość obecnemu prezydentowi rzeczypospolitej, przypomnijmy sobie w tej roli Mac-Mahona, przypomnijmy sobie tego tępego a chciwego władzy niedołęgę, który chciwie strzegł wszystkich swych praw, chociaż z żadnego uczciwie i umiejętnie korzystać nie umiał. On raczej naraziłby kraj na wojnę domową, niż powierzył ster państwa człowiekowi, pochłaniającemu talentem wiarę, nadzieję i miłość ogółu. Inaczej postępuje Grévy. Mąż to bardzo światły, niezniewieściały, do działania pohopny; czuje wszakże, że obok niego wyrasta inny, zdolniejszy, któremu dziś faktycznie a kiedyś prawnie trzeba naczelnego miejsca ustąpić.

Jak cesarz niemiecki, podobnie prezydent rzeczypospolitej nie zgadza się z wieloma działaniami swego pełnomocnika, ale jak tamten również nie wysadzi go ze stanowiska, którego nikt godniej zająć nie może. Bo Grévy jest także uczciwym obywatelem kraju, on także umie poświęcać swe uczucia i przekonania temu, kto lepiej od niego przy ołtarzu ojczyzny służy.

Chcąc godnie ocenić takie ofiary, uwzględnijmy z jednej strony ich wartość, a z drugiej — trudność. Pamiętajmy, że mamy przed sobą ludzi, którzy wogóle nie są wcale skłonni do poniżenia siebie a wywyższania drugich, ani też do dobrowolnego zrzekania się władzy. Jeżeli więc wyłamią się z natury ludzkiej i oprą najsilniejszym jej pokusom, zasługują doprawdy na miano bohaterów.

Takich zaś bohaterów dziś bardzo ludzkości potrzeba, do takich ona nieraz bardzo wzycha, na brak takich cierpi.

APELACYA DO LUDU.

Od czasu do czasu prasa nasza staje się polem namiętnych walk o czystość języka, walk, które równie nagle gasną, jak się rozpaliły. Nie wzbudza ich bowiem nigdy żaden fakt poważny, ale pierwszy lepszy koncept jednego z nieskończonej liczby samorodnych gramatyków, pierwsza lepsza skarga lub pomysł spolszczenia jakiegoś utartego, powszechnie zrozumiałego wyrazu cudzoziemskiego. Jak gdyby dla dopełnienia żartobliwości tych figlików, pisma, które stają się przewodami gorzkich żalów nad „skażeniem naszej mowy,“ zaraz obok pozwu, zwróconego ku innym, popełniają same względem niej najzuchwalsze winy. Nie o tę wszakże dziwaczną sprzeczność nam chodzi, ale o trybunał, który rozstrzyga tego rodzaju spory w ostatecznej instancyi. Ile razy strony nie mogą się pogodzić w uznaniu dla tej lub owej postaci językowej, natychmiast odwołują się do ludu i szukają w jego mowie bezpośredniego lub pośredniego wyroku. Zachodzi tedy pytanie: czy ów sąd jest wybrany właściwie, czy lud może stanowić o prawowitości lub nieprawowitości naszych sposób wyrażania się? Odrazu z procesu tego uderza nas dziwoląg. Ów lud, którego warstwy oświecone nie pytają o radę w żadnej sprawie a nawet w każdej uważają go za małoletni, w jednym przedmiocie zyskuje taką władzę, że przed jej majestatem milkną muszą najuczeńsi językoznawcy. Nie jestże to dziwnem? Gdy mamy jakąś wątpliwość obyczajową, moralną, filozoficzną, religijną — nie pytamy naszych wieśniaków i wieśniaczek; tymczasem ci prości i swej szczególnej wiedzy nieświadomi ludziska w każdym sporze lingwistycznym mają głos decydujący. Co to znaczy? Miałżeby duch św., posiadający moc językoznawczą, zsyłać tym poczciwcom swoje natchnienia? Porzućmy ironię i nie potrącając dłużej jej strun, powiedzmy otwarcie, że cała ta apelacya do ludu jest sentymentalną śpiewką, która często bardzo wygodna osłania nieświadomość naszych gramatycznych procesowiczów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że lud ma tyle prawa w lingwistyce, ile w filozofii, etyce ekonomii politycznej i t. p. Jak dla tych nauk posiada on w swym skarbcu pewien zasób prawd i pojęć, z któremi wiedza liczyć się winna, podobnie dostarcza on surowego materyału lub pouczających wskazówek lingwistyce. Żeby on wszakże miał być jakąkolwiek a tem mniej najwyższą instancyą, ażeby rozdawał prawa obywatelskie postaciom językowym, ażeby to jedynie było polskiem, co się z mową ludu polskiego zgadza — na pojęcie i uznanie takiej zasady trzeba bardzo dużo stracić zdrowego rozsądku. Pozornie słuszna racya, że odsunięty od cywilizacyjnego Babelu lud najmniej ma sposobności poddania się wpływom obcym—jest wogóle bezzasadną a jeszcze bardziej bezzasadną u nas. Bo jakkolwiek rzeczywiście wpływ ten w niższych warstwach narodu jest słabszy, słabszą również jest ich odporność. Wieśniak bardzo chętnie wzbogaca swą mowę wyrażeniami obcemi a wcale nie ma poczucia obowiązku zachowywania jej w czystości. Wzgląd ten zyskuje szczególne znaczenie w plemieniu polskiem, wszędzie z innemi narodowościami zetkniętem. Dość posłuchać cudacznej nieraz gwary włościan poznańskich, szląskich, galicyjskich lub naszych — procent domieszek zewnętrznych jest olbrzymi. Gdyby komu z nas przyszła chęć sprawdzić ową drogą, czy np. forma *odejdź* jest polską, dowiedziałby się z apelacyi do ludu, że polska brzmi: *posioł wont*. I tak dalej.

Nie łudźmy się więc i nie ustanawiajmy sobie sielankowych trybunałów, których wyroki, jak obertasy ludowe, mogą nas czasem ubawić a nawet pouczyć, ale wzorów nie dostarczą. W rozwoju wszystkich

---

SPISEK.

Chociaż, zaszczytnie wybrany przez ciotkę Stefanową do odprowadzenia panny Lucyny, podjąłem się tego zadania „z najwyższą przyjemnością,“ zapisałem jednak na rachunek dyabła zarówno ten zaszczyt, jak przyjemność.

Z Miodowej wędrować na Pragę, o godzinie 6 wieczorem, śród chłodnego deszczu, pod rękę i w dodatku pieszo, gdyż panna Lucyna — jak się dowiedziałem w drodze — „tak najlepiej ze mną chodzić lubiła“ — doprawdy wolałbym był przez ten czas wyuczyć się na pamięć całej szpalty *Wieku*. Rozpaczliwy okrzyk kupca z ulicy Dzikiej, wołającego we wszystkich pismach: *strzeżcie się zaziębienia!* brzmiał mi w głowie straszną grozą, tembardziej, że nie posiadałem na sobie ani „barchanu zdrowia z dużym kutnerem (ceny dotąd niebywałej!),“ ani „hygienicznego, przeciw-ślozowego kaftanika,“ ani żadnej rzeczy, które ów dbający o zdrowie ludzkości dobroczyńca na takie wypadki dostatnio przygotował. Podczas więc gdy moja towarzyszka, niezawodnie ogrzana „flanelką drukowaną w prześlicznych kolorach,“ uśmiechała się do mnie lub pytała: „dlaczego pan taki smutny?“ — ja tłumiąc gniew, odpowiadałem: „bo daleko jestem od celu.“

— Czemu go pan nie przybliży? — zapytała lekko zmięszana dziewica.

— Właśnie to robię — odparłem, przyśpieszając kroku.

Wreszcie stanęliśmy u celu, rozumie się nie u tego, do którego mnie zachęcała panna Lucyna, ale tego, do którego ja dążyłem — to jest przed bramą domu jej rodziców. Odmówiwszy natarczywemu zaproszeniu, pożegnałem ją i odszedłem.

Zziębnięty poczułem gwałtowną chęć znalezienia cukierni i ogrzania się szklanką herbaty. Ale na Pradze cukiernia — to sikawka w gminie. Idąc wszakże ku Wiśle, dostrzegłem jakiś sklepik z oświeconemi szybami, na którego szyldzie odczytałem przy latarni: *cukiernia*. Otwieram drzwi, wpadam i widzę...

Czytelniku, przygotuj się dla usłyszenia, co zobaczyłem. Przy maleńkim stoliku siedziała grupa cicho, ale namiętnie, z głowami do środka pochylonemi rozmawiających... literatów warszawskich. Spostrzegłszy ich, stanąłem zdziwiony — oni, także widocznie zmięszani, nagle ucięli rozmowę. Co ich tu sprowadziło? — co mnie? — pytania te z dwu stron skrzyżowały się w naszych spojrzeniach.

— Uważacie? — szepnął nawet jeden ze znanych krytyków.

Niepodobna było zbyt długo przeciągać tego niemego badania; przystąpiłem więc do stropionego grona i witając je, rzekłem:

— Niedługo będę panom przeszkadzał, tylko wypiję szklankę herbaty, bo zmarzłem.

— Ależ pan nam wcale nie przeszkadzasz — odparł p. Ignacy, który naprzód objawił względem mnie podejrzenie — i my tylko się rozgrzewamy.

Zająłem miejsce, możliwie w maleńkim pokoiku najdalsze. Pijąc herbatę, mimowolnie zacząłem rozmyślać, po co oni się tu zgromadzili? Na Pradze, wieczorem, do mizernej cukierni ściągnąć ich mogło tylko jakieś ważne, tajemne przedsięwzięcie. Domysł ten potwierdzały ich twarze, dziwnie na mój widok wyciągnięte, wreszcie namiętne po uspokojeniu się szepty oraz pewne, dla zbłąkania mnie głośniej wybijane wyrazy: „zepsuty chodnik“... „Friedenthal“... „tramwaje“... „Prószyński“ itp. Nie ulegało wątpliwości, że przedmiotem tajemnej narady była jakaś ważna sprawa polityczna lub społeczna. Ale jaka? Daremnie przesuwałem sobie w pamięci wszystkie donioślejsze wypadki ostatniej chwili, od bilu irlandzkiego i wyborów niemieckich aż do zniesienia *kepi* w umundurowaniu szkolnem — nic nie naprowadzało

żywiołów cywilizacyi narodu a więc i języka główny udział przypada klasom oświeconym; żadne zaś społeczeństwo tak cudacznie nie żyje, ażeby wszystko w niem tworzyli najmędrsi, tylko jedną, wcale nie poślednią tkankę snuli najgłupsi. Kochanowscy, Reje, Śniadeccy, Mickiewicze, Słowaccy, Krasińscy więcej dali naszej mowie i bardziej ją oczyścili, niż całe pokolenia ludu. Poeci, przyrodnicy, lekarze, historycy, ekonomiści, prawnicy, matematycy a nawet dziennikarze stworzyli olbrzymią ilość doskonałych wyrazów i zwrotów, których lud nawet nie przeczuwa. Jeżeli więc do kogo zwracać się należy, to do nich, nadewszystko zaś do wzorowych pisarzów współczesnych, którzy bogacąc myśl narodu, bogacą zarazem jego język. Oni nam, bez pomocy ludu, powiedzą, że zamiast *antreprener* należy mówić *przedsiębiorca*, zam. *stagnacya* — *zastój*, zam. *kryzys* — *przesilenie*, zam. *sukces* — *powodzenie*, zam. *aglomeracya* — *mięszanina;* oni nauczą nas, że zwłaszcza pisma, które przewodniczą w oczyszczaniu języka, nie powinny pomieszczać takich dziwotworów, jak jedno z warszawskich w n-rze sobotnim: „*Puryfikacya* ta ma być prowadzona z niemałą *energią*, dopóki w Muz hesperyjskim ogrodzie nie zapanuje zapach *de la fine fleur* swojskich *kreacyj* w całej czystości chemicznej *solucyi*." Etymologiczne i gramatyczne sielankowanie nie prowadzi do innego celu, prócz daremnych usiłowań powstrzymania rozwoju mowy sentymentalnymi więzami, które ona jak pajęczynę babiego lata ciągle targać będzie. Wszystkie: prru! stoj! heć! kse! woźniców swojskiej bryczki i oraczów rodzinnej niwy nic nie pomogą, bo język w każdym swym ruchu pójdzie tą drogą, którą go poprowadzi wypadkowa uczuć, natchnień i myśli narodu, a przedewszystkiem najdzielniejszych i najświatlejszych jego pierwiastków.

Nauczyciel.

KRAKOWSKI MANDAT.

Gdy Julian Klaczko odmówił przyjęcia zaszczytu posłowania do Rady Państwa z Krakowa, a może „zaskoczony znienacka" otrzymać go nie mógł, pięciu kandydatów stanęło przed publicznością wyborczą dla złożenia jej hołdów. Szczęściem, że wynaleziono alfabet i zastosowano go do ułożenia porządku, w jakim mówcy występować mieli, bo inaczej nie wiedziałbym, któremu dać w tem sprawozdaniu pierwszeństwo.

A więc naprzód *K* — dr. Kański, adwokat. Jak na prawdziwego krakowianina przystało, dosyć daleko w tył cofnięty konserwatysta. Kiedyś — jak sam zapewnia — „nie bał się nikogo i niczego" (brawo), ale dziś boi się... materyalnej biedy narodu i dlatego radzi „politykę wielką" zamienić na pożyteczniejszą małą, to jest praktyczną. Wszystkie inne sprawy uważa za fatałachy, którymi zajmować się nie warto.

Po *K* następuje *M* — czyli hr. St. Mieroszewski. Najdalszą granicą, do której robi ustępstwa społeczne, jest konstytucya 3 maja. Dalej ani kroku. Wyznaje katolicyzm, bo go ojcowie wyznawali, godzi się na tolerancyę religijną, bo ją królowie polscy zaprzysięgali. Gdyby przodkowie mieli inną wiarę a królowie składali inną przysięgę, hr. Mieroszewski nie wie, co by zrobił. Ale na szczęście tak się stało. Kandydat widzi dwie drogi wyjścia dla polaków: jedna prowadzi do przymierza z Austryą a druga do zgody z... kodeksem cywilnym i karnym. Innych sojuszów nie pojmuje. Austrya według niego „znaczy monarchię wschodnią," powinna zaś przestać być panslawiczną (!) a stać się polislawiczną. Najlepszym ustępem dość długiego wywodu było zapewnienie mówcy, że gdy się wyborcom z działalności swej w Wiedniu nie podoba, niech mu dadzą delikatny znak, a on go zrozumie.

Drugie *M* — p. Michałowski rad był wyborcom wszystkiem, czem chata jego bogata. Że nie bogata — trudno. Dobre chęci miał, bo posłem do Rady Państwa szczerze zostać pragnął, a że z jego usług skorzystać nie chciano, nie on temu winien. Nie posiada złota — prawda, ale przyniósł kadzidło i mirę.

W spisało się nietęgo. Naprzód p. Wilkosz gdzieś się schował, a wyborcy go nie szukali; dr. Warschauerowi zaś, posiadającemu bardzo wiele warunków do poselstwa, zdarzył się wypadek, na którym mówca głównie powinął nogę. Jest on izraelitą. Otóż gdy sobie swobodnie szybował w wyższych kręgach patryotyzmu i pojednania, nagle jeden z wyborców godzi go w pierś krzykiem: „a kahały?" Kahałów już niema — odpowiada kandydat. Jakto nie ma, kiedy są — wołają wyborcy. Nie ma — są — nie ma — są! grzmi sprzeczka, skutkiem której dr. Warschauer zmuszony przyznać, że kahały są a nadewszystko wytłomaczyć się, jakie stanowisko zajmie wobec projektu Merunowicza, żądającego zniesienia przywilejów żydowskich i oddania instytucyj starozakonnych pod kontrolę państwa. Odpowiedź ta wypadła nader nieszczęśliwie. Kandydat chciał obu stronom dogodzić, nie dogodził żadnej, nadewszystko zaś tej, od której jego mandat zależał.

Jak słabi kandydaci stanęli do turnieju, dowodem rezultat wyboru, który większość głosów przesypał na szalę hr. Mieroszewskiego. Chociaż jednak kandydat ten na bezrybiu stał się rybą, nie przestaje być rakiem, jak świadczy jego polityczne wyznanie wiary, cofające naród co najmniej o wiek cały. Wobec tego może usprawiedliwioną jest nawet w obozie liberalnym odzywająca się skarga, że mandatu nie powierzono J. Klaczce. I to rak w ruchach, ale nie w głowie. Bądź co bądź większą by kraj odniósł korzyść z wstecznego, ale zdolnego pisarza, niż z równie wstecznego radcy dla hercogowińców i bośniaków, z wątpliwej wartości zucha, który jeszcze

---

mnie na trop zagadki. Błąkając się w przypuszczeniach, poczułem trwogę na myśl, że może wielkie przedsięwzięcie moich kolegów, prawdopodobnie dotyczące ogółu, nie uda się i sprowadzi nieszczęście. Przejęty obawą, chciałem zwrócić się do nich i zawołać: panowie, nie kryjcie przedemną swoich zamiarów, bo przecie i ja jestem obywatelem kraju. Ale oni, jak gdyby usłyszeli myśl moją, podnieśli się i pożegnawszy mnie spiesznie, wybiegli z cukierni. I ja, drżąc z wruszenia, wkrótce wyszedłem. Na ulicy było pusto. Tylko zdala dolaciały mnie oderwane wyrazy głośniejszego wykrzyku: „On da pierwszy strzał... potem szturm ogólny!... Zdobędziemy!"

Nie dziw się czytelniku, że powróciłem do domu niespokojny i że przez połowę nocy zasnąć nie mogłem. Wstałem zmęczony, a po głowie, jak błyski przed burzą, biegały mi ciągle groźne domysły. Już miałem wyjść z domu i wybadać u którego ze znajomych tajemnicę, gdy drzwi się otworzyły a w nich stanął p. Ignacy, spełniający we wczorajszem gronie, jak mi się zdawało, rolę hetmana. Bywał u mnie bardzo rzadko, odgadłem więc, że go sprowadza coś, co było przedmiotem tajemnej narady. Widocznie zakłopotany celem swych odwiedzin, usiadł i zaczął rozmawiać o kwestyach obojętnych: o teatrze, o dymisyi p. Święckiej, o nieużytkach scenicznych itp. Chcąc mu ułatwić zadanie, nie zdradzałem lekceważenia dla tego wstępu, a nawet potakiwałem jego zarzutom względem dyrekcyi teatralnej. Nagle mój gość zamilkł, popatrzył mi w oczy i jak gdyby wyczytał w nich możliwość zwierzenia tajemnicy, otworzył usta i rzekł:

— Czyby pan nie połączył się z nami w sprawie...

Powstrzymałem oddech. Ale p. Ignacy, jak gdyby przerażony brzmieniem tych słów, które mu się z ust wydobyły, zerwał się i podał mi rękę:

— Ponieważ jestem pewien pańskiej zgody, więc zajdę do pana wieczorem i przeczytam coś, o czem pomówimy.

To rzekłszy, wyszedł. Osłupiałem. Z czego on wywnioskował moją zgodę? Co mi przeczyta? Do dyabła, wolałbym teraz, ażeby się to niebezpieczne przedsiewzięcie bezemnie obyło.

Oczekiwałem wieczoru rozdrażniony. Nareszcie usłyszałem dzwonek — wszedł p. Ignacy. Powitaliśmy się w poważnem milczeniu.

— Sprawa — rzekł, wyjąwszy i rozwinąwszy arkusz papieru — którą panu przedstawić zamierzam, jest dziś może najważniejszą w życiu naszego narodu...

Poczułem gwałtowne bicie serca.

— Jeśli wszakże ma się powieść — mówił dalej — wymaga działania łącznego, tembardziej, że mamy do czynienia z przeciwnikiem groźnym.

Kiwnąłem głową.

— Jak pan zapewnie domyśliłeś się — ciągnął dalej — idzie nam o tę nieszczęsną gospodarkę teatralną, w której dymisya pani Święckiej...

— Co takiego? — rzekłem wytrzeszczywszy oczy.

— Upadek podkomitetu teatralnego...

Ale p. Ignacy nie mógł skończyć. Zrozumiawszy bowiem cel spisku, wybuchnąłem tak gwałtownym śmiechem, że mój gość schował papier, wstał zmięszany a widząc, że się uspokoić nie mogę, wziął kapelusz i rzekł gniewnie:

— Pomówimy, jak pan będziesz w mniej dobrym humorze.

Na schodach jeszcze zapewnie słyszał moje chichotanie się, któremu zawdzięczam jedną z weselszych chwil w życiu.

Niedomyślny.

najlepiej robi, gdy nic nie robi... sobie ze swojego mandatu.

P.

PLAN UPAŃSTWOWIENIA
dróg żelaznych w Niemczech.

I.

Materyały. — Rok 1879 i przeszłość dróg żelaznych w Prusach. — Stan ich liczebny w r. 1881. — Pruskie prawodawstwo kolejowe. — Sposoby przenoszenia dróg żel. do rąk rządu, przejawy ześrodkowania i upaństwowienie ich w innych państwach europejskich.

Upaństwowienie dróg żelaznych jest może najwyraźniej zarysowaną ilustracyą państwowo-socyalistycznego systematu ks. Bismarka. Jest ono nadto projektem budzącym większe zajęcia ogółu, niż inne ekonomiczne pomysły Prus — niż np. sprawa celna, kasy pomocnicze dla robotników, ubezpieczenia, monopol tytuniowy.

Pozyskawszy szczęśliwie i zbadawszy dokładnie materyał urzędowy, odnoszący się do upaństwowienia kilku pruskich dróg żelaznych, wydobyłem z niego dla czytelników *Prawdy* pierwszy zarys wielkiego planu, który niewątpliwie, prędzej czy później, rozszerzy się po za granicę swej ojczyzny i obejmie społeczeństwa, dotąd zdaleka jedynie mu przypatrujące się. Materyał ów zawiera umowy rządu z towarzystwami, uzasadnienie projektu, przedstawione przez rząd parlamentowi, sprawozdania komisyi, zapiski stenograficzne z rozpraw sejmowych, rozkazy cesarskie, jedyną w swoim rodzaju i rzadką jako okaz bibliograficzny broszurę pana Rapmunda [1]), wreszcie rozmaite dokumenty prywatne.

Mamy przed sobą parlament berliński z roku 1879/80, odbywający pierwszą sesyę 14-go okresu prawodawczego. Rozprawy jego pouczają nas, że rząd zaopiekował się czterema kolejami, bynajmniej nie dla tego, iż są one w złym stanie i potrzebują pomocy, gdyż nawet niektórym akcyonaryuszom chce płacić za odstąpienie praw. Biorąc koleje odrazu pod własny zarząd, jednocześnie obowiązuje się wydać właścicielom, zamiast dotychczasowych akcyj, obligi rządowe i zastrzega sobie możność rozwiązania po pewnym czasie towarzystw i nabycia dróg na własność. Rząd zwrócił na nie uwagę z wytkniętym i świadomym celu planem. Wprowadza on stopniowo w czyn myśl upaństwowienia wszystkich, a brak mu właśnie tych linij, żeby zapełnić lukę od zachodu i jednocześnie związać własnymi pasami kółka wielkich dróg, takich jak: Wiedeń — Drezno — Magdeburg — Hamburg, Berlin — Kolonia — Paryż, Drezno — Magdeburg — Bremen i inne. Nie pierwszy to krok w tym kierunku, o dawniejszych warto wspomnieć osobno.

W historyi niemieckich dróg żelaznych pamiętnym jest okres od 1847—1857 roku, kiedy energiczny minister von Heydt bawił się towarzystwami kolejowemi jak piłkami. Heydt podniósł sztandar upaństwowienia dróg żelaznych z energią, której mu dopiero Bismark godnie umiał pozazdrościć. W czasie jego działalności rozwój prywatnych towarzystw stał nieruchomie na zerze: z tablicy graficznej widzimy dobrze, jaki zastój panował w ówczesnem gospodarstwie kolejowem. Heydt objął w ręce rządu dwie znaczne grupy dróg: zachodnio-reńską, i południowo-szląską. Te dwie grupy stały się zrębem, na którym stanął późniejszy gmach systematu państwowego. Prowincye nabyte w r. 1866 (Hannower, Hessen Kassel i Nassau) powiększyły liczbę rządowych dróg żelaznych drogą pokojową. Po roku 1871 przesilenie przemysłowe, sprowadzone przez napływ do Niemiec miliardów francuskich, poderwało prywatne gospodarstwo kolejowe na korzyść rządowego. W r. 1873 wystąpił w parlamencie Laskier, domagając się wskrzeszenia programu Heydta, ale dopiero rok 1879 zapisał się w historyi Niemiec nowem wskrzeszeniem idei Heydta i Laskiera, dzięki poparciu ks. Bismarka. Cele obrony krajowej i ograniczenie swobody współubiegania się, wysunięte przez niego na pierwszy plan działalności, przyprowadziły rząd do powyższej tranzakcyi, do zebrania wspomnianego wyżej materyału i do obrad przedstawicieli społeczeństwa. Myśl rządu najtreściwiej da się tak wypowiedzieć: chciał on zrobić krok stanowczy na drodze ułatwienia ruchu wewnątrz kraju i obrony na zewnątrz, a ponieważ w swojej sieci miał już drogi prowadzące na wschód i na południe, zapragnął mieć drogę na zachód, do czego potrzebnem było nabycie czterech kolej, o których mówimy. Żeby dać pojęcie, do czego doszedł w tem przedsięwzięciu i czem się może poszczycić, przytaczam dane, wykazujące ilość dróg żelaznych w Prusach i w pozostałych Niemczech. Dane te zebrane we wrześniu bieżącego roku a odpowiadają trzem grupom, dzielącym koleje niemieckie:

1) Państwowych dróg pod zarz. państwa w Prusach 11,616 km., w pozostałych Niemczech 10,738 km.

2) Prywatnych dróg pod zarz. państwa w Prusach 3,609 km., w pozostałych Niemczech 279 km.

3) Prywatnych dróg pod zarz. prywatnym w Prusach 5,393 km., w pozostałych Niemczech 2,450 km.

Razem w Prusach 24,618 km., w pozostałych Niemczech 13,467 km., co stanowi w całem cesarstwie 34,085 km. Z tej liczby państwo posiada na własność prawie $^2/_3$ całej sieci krajowej, a pod swoim zarządem więcej niż $^5/_7$. Przy tej statystycznej wzmiance może zajść pytanie: jaki jest stosunek Cesarstwa Niemieckiego do innych wielkich państw europejskich i amerykańskich? Otóż według danych z r. 1877 Cesarstwo Niemieckie ustępowało tylko Stanom Zjednoczonym, posiadającym 128,187 km.; łącznie z Bawaryą posiadało wówczas 31,448 km., a Wielka Brytania zaledwie 27,494 km.

Z przytoczonych liczb widać, jak wielką przewagę w gospodarstwie kolejowem niemieckiem posiada żywioł państwowy. Ta przewaga uzasadnia twierdzenie, że idea upaństwowienia dróg ma już *przeszłość historyczną i ekonomiczną teraźniejszość*. Rząd posiada bogactwo, które stanowi jego siłę, dzisiaj już mówi, że wartość państwowej posiadłości kolejowej pokrywa cały dług państwowy. Uzbrojony takimi zadatkami, idzie śmiało naprzód.

Dla uzupełnienia rynsztunku, w którym występuje on pod hasłem tej idei, pozostaje mi dotknąć *strony prawnej przedmiotu i przykładu zewnętrznego*.

Kamieniem węgielnym prawodawstwa kolejowego pruskiego jest ustawa z dnia 3 listopada 1858 roku. Zapatruje się ona na koleje, jako na otwarte drogi, na których przewóz należy do przedsiębiorcy. Myśl upaństwowienia o tyle w niej jest przewidzianą, o ile rząd zawarował sobie prawo nabycia na własność każdej drogi po upływie trzydziestu lat od chwili rozpoczęcia ruchu. Termin ten obowiązuje jednostajnie wszystkie koleje, a sposobu amortyzacyi koncesyi, t. j. przejścia kolei na własność rządu bezpłatnie po upływie pewnego terminu ustawa ta zupełnie nie zna. Interwencya rządu, w interesie dobrobytu społeczeństwa zastrzeżona, daleką jest przecie od tej pełnej i świadomej celu idei, która stanowi przedmiot zabiegów dzisiejszego systematu pruskiego. Rząd nie ominął jednakże sposobności ciągnąć korzyści z nowej gałęzi przemysłu. Oznaczył on podatek, który towarzystwo przy pewnych pomyślnych warunkach obowiązane mu było płacić, a to w celu wynagrodzenia

[1]) *Zehn Jahre Preussich-deutschen Eisenbahnpolitik.* Lipsk. 1876, bezimiennie.

ZUPA KARTOFLANA

opowiadanie

A. DAUDETA.

Wyobraźcie sobie izdebkę na piątem piętrze, t. j. jeden z tych strychów, z okienkiem u góry, którędy przeciekają strumienie deszczu; strych, ktory w mroku nocy, jak obecnie, zlewa się w jednolitą całość z dachem kamienicy. Jednakże izdebka czysta i miluchna. Wszedłszy do niej, uczuwamy pewien rodzaj zadowolenia, tem więcej, że na dworze huczy wiatr i deszcz siecze po szybach okienka. Zdaje się, że to gniazdo, uwite na wysokiem drzewie. Tylko że w tej chwili gniazdko próżne; gospodarza niema w domu. Ale wszystko zapowiada, że wkrótce powróci — wszystko gotowe na jego przybycie. Na rozrzażonych węglach gotuje się powoli coś wrądelku. Zapewne zbyt długo stoi on już na ogniu, ale chociaż rozgrzany do czerwoności, od czasu do czasu objawia swoją niecierpliwość i wówczas pokrywka podnosi się, drży pod naciskiem pary i po izdebce rozchodzi się apetyczny zapach.

Ach, jakże miła woń kartoflanej zupy!

Chwilami węgle żarzy się ogień i płomyk, wydobywający się na wierzch, ześlizga się aż na podłogę, rozjaśniając izdebkę, jakby pragnął obejrzeć, czy wszystko w porządku. Tak, wszystko w najzupełniejszym porządku, gospodarz może wrócić kiedy mu się podoba. Drelichowa firanka zapuszczona na okno. Tam znowu, przy kominku, ustawione wielkie, wygodne krzesło; z boku mały stoliczek, nakryty na jedną osobę; przy talerzu książka, nierozłączna towarzyszka i lampa oczekuje tylko na zapałkę.

Podobnie jak rądelek obleplony sadzą nie błyszczy się, tak i naczynia stołowe, skutkiem wody utraciły żywe barwy, a brzegi kart książki mocno zniszczone, zapewne od częstego użycia. Na wszystkiem widoczne ślady przywyknienia. Wszystko zapowiada, że mieszkaniec izdebki musi każdego dnia późno powracać do domu, a nadto lubi pewnie, przybywszy, znaleźć przygotowaną wieczerzę, która odgrzewającsię, rozlewa w około ciepłą, woniejącą parę!

Jakże cudowna woń kartoflanej zupy!

Biorąc na uwagę niezwykłą czystość owego mieszkanka, wyobrażam sobie urzędnika, jedną z tych istot, które do domowego życia wnoszą kancelaryjny porządek godzin i regularność pieczątek, wyciskanych na papierach urzędowych. Ponieważ wraca tak późno, więc zapewne odbywa nocny dyżur na poczcie lub w telegrafie. Widzę go stąd, za kratką, w rękawkach z lustryny i aksamitnej czapeczce, porządkującego i stemplującego listy lub nawijającego niebieskawe paski telegramów, przygotowującego korespondencyę dla Paryża, który w tej chwili śpi lub szaleje. Ale nie, to coś innego. Swawolny płomień domowego ogniska, odbijający się na ścianach izdebki, oświecił nagle wielkie fotografie w złotych ramach. I oto ze z mroku wystąpiły wyraźnie rysy cesarza Augusta, Mahometa i Brytannika, wieńce, hełmy, tyary, birety. Wpatruję się i we wszystkich tych bohaterach rozpoznaję jedną i tę samą twarz, surową, uroczystą, twarz gospodarza miluchnego mieszkanka i szczęśliwego śmiertelnika, dla którego przygrzewa się smaczna, apetyczna potrawa. Jak ponętną jest woń kartoflanej zupy!

przedewszystkiem straty, jaką przez założenie prywatnych dróg żelaznych ponosił w dochodzie z poczt. Nie bardzo posilił się tą korzyścią, bo ona nigdy nie przysła do skutku. Równie martwą literą ustawy 1838 roku był artykuł, na mocy którego każde towarzystwo kolejowe obowiązane było po pewnym przeciągu wyłącznie własnej eksploatacyi przypuścić do niej innych przedsiębiorców, którzy zechcą wziąć w udział za opłatą odpowiedniego wynagrodzenia. W dalszym ciągu rozwoju dróg żelaznych nastąpiły przepisy prawodawcze, uzupełniające ustawę 1838 roku. Jednym z ważniejszych tej treści aktów były odnośne artykuły konstytucyi, ale wyraźnych, dotyczących upaństwowienia prawodawstwo to nie zna, pomimo że następne lata powołały do życia różne inne ustawy kolejowe.

W prawodawstwie wszystkich państw europejskich i amerykańskich przewidziane są sposoby przenoszenia dróg żelaznych z rąk prywatnych w posiadanie rządu. Wszystkie one należą do dwóch kategoryj: jedne określają czas, po którym rząd może przedsiębiorstwo kupić, drugie — termin, po upływie którego staje się ono jego własnością bezpłatnie. W niektórych państwach oba te sposoby istnieją razem, w innych osobno. Przepisy te zawsze i wszędzie ułatwiały rządom interwencyę w sprawy kolejowe. Nie tylko w Niemczech, ale także w innych państwach znajdujemy również objawy pokrewne. Nagły zwrot w kierunku upaństwowienia, który się objawił w dzielnicach Niemiec (1878) był owocem postrachu, obudzonego w nich przez zamiary rządu pruskiego. Groźba opanowania dróg żelaznych przez Prusy, skłoniła rząd saski do zawarcia umów z krajowemi towarzystwami kolejowemi i objęcia ich przedsiębiorstw na własną rękę. W objawie tym maluje się jeden z licznych momentów walki, którą tak rozpaczliwie toczą odrębne dzielnice dawnego „imperium rzymskiego“ z dzisiejszym imperyalizmem pruskim. W Belgii budowę dróg żel. rozpoczął rząd; następnie zaczął dawać koncesye, ale w r. 1870 posiadał ledwie trzecią część wszystkich dróg krajowych, za to nie później jak w roku 1878 posiadał już $^2/_3$, a dawną jego rolę przejęły towarzystwa prywatne. We Francyi rok 1852 był dobą, w której dopełniono połączenia 27 towarzystw w sześć wielkich grup (*du Nord, de l'Est, Paris-Lyon-Méditerranée, d'Orléans, du Midi* i *de l'Ouest*), skutkiem złego stanu przedsiębiorstw. Dopiero po r. 1871 idea upaństwowienia występuje w pełni. Smutne doświadczenie było tą szkołą, w której rząd nauczył się myśleć o własnej gospodarce. Projekt wniesiony do Izb 1878 r., przyjęty został w marcu, a ogłoszony w maju. Przeprowadzenie go zawdzięcza Francya Freycinetowi. Rzeczpospolita nabyła wtedy na własność 10 dróg żelaznych — *chemins de fér de l' état, sous l'autorité du ministre des travaux publics*. W następnym roku komisya, wyznaczona dla zbadania sprawy, oświadczyła się za dalszem rozwijaniem sieci rządowej, a głównie za kupnem grupy orleańskiej (4,327 km.). We Włoszech między rokiem 1860 a 1870 wszystkie drogi żelazne prywatne i rządowe tworzyły cztery przedsiębiorstwa (*Alta Italia, Romane, Meridionali* i *Calabro Sicule*). W r. 1878 rząd zakończył operacyę upaństwowienia, owładnięciem górno-włoskiej (*Alta Italia*). Szeroki projekt ministra Baccariniego, wniesiony w r. 1878, a zatwierdzony 1879, zamierzał, obok oryginalnego podziału, rozwinąć sieć dróg żelaznych kosztem rządu, ale pytanie: kto będzie gospodarował — pozostało otwartem. W Austryi, podobnie jak we Włoszech, działalność rządu posuwa się słabo. Po latach 1848 i 1867 rad nie rad musiał się zaopiekować kolejami, opuszczonemi przez zbankrutowane towarzystwa. Na rok 1868 przypada początek okresu ożywionej przedsiębiorczości. Rząd zaczął wtedy budować koleje, których wymagały widoki strategiczne, a których żadne towarzystwo prywatne budować nie chciało, jak: Tarnowsko-Leluchowska, Dalmacka, Dniestrzańska. Jednakże mimo to monarchia Austryacko-Węgierska posiadała w r. 1878 zaledwie czwartą część wszystkich krajowych dróg żelaznych. (D. n.)

A. Pawłowski.

PSYCHOLOGIA

w ekonomii politycznej.

II.

(Teorya wartości.)

Według ulubionej przez niektórych ekonomistów hypotezy, wolne współzawodnictwo wytwórców powinnoby sprowadzić obniżnie cen, gdyby zniesiono nierówności położeń społecznych oraz wszystkie inne przywileje. Należałoby przypuszczać, że zniżenie takie dosięgnie ostatecznej granicy i zbliży się mniej więcej do kosztu fabrykacyi. Gdyby wszakże tak było, to dlaczego nie można by przypuścić, że we wspólnym interesie wytwórcy porozumieją się, dla powstrzymania się na pochyłości tej zgubnej obniżki? Powstałby tym sposobem pewien rodzaj monopolu zbiorowego, w którym już nie jeden producent, ale dziesięciu, stu lub tysiąc ustalałoby ceny produktów, odpowiednio do swej najwyższej korzyści, licząc się z siłą gustów publiczności i badając, do jakiego punktu doprowadzony wzrost zakupów, skutkiem obniżenia ceny, przyczyniłby się do powiększenia czystego zysku. Na tym właśnie punkcie za zgodą wzajemną zatrzymaliby się wszyscy.

Przypuśćmy teraz, że taka zgoda by nie istniała. To i w takim razie obniżka ceny nie doszłaby do kosztu produkcyi, ale do tego szczebla, w którym zysk wytwórcy byłby mniejszy a więc i mniej pożądany od zysków, jakie mógłby otrzymać z innego rodzaju fabrykacyi. Tutaj więc współubieganie się pragnień, będące podstawą ceny, odbyłoby się w duszy wytwórców a nie spożywców. Chociaż wogóle cena bywa ustalaną przez fabrykanta, który jest zawsze mniej lub więcej monopolistą, często jednak, zmuszony wyprzedać się w krótkim terminie i zlikwidować się, jest na łasce publiczności. Wtedy spożywca określa cenę, ale czyni to zawsze stosując się do podanego powyżej sposobu — ofiaruje cenę najniższą, jaką kupiec przenosi nad niesprzedanie towaru, to jest taką, że gdyby była cokolwiek niższą, kupiec na nią by się nie zgodził.

To ustalenie ceny stałej, prawdziwej wartości rzeczy, wywołane przez wewnętrzną i niedostrzegalną przewagę ilości psychologicznych, tak dalece tkwi w naturze rzeczy, że nawet w najbardziej radykalnych zmianach społecznych, o jakich marzą socyaliści, konieczność takiego oznaczenia sama się narzuca. Mniemają naprzykład, że komunizm mógłby znieść drogie ceny mieszkań. Gdyby jednak państwo było właścicielem wszystkich domów w Paryżu, pomimo największej chęci obniżenia ceny mieszkań i zrównania jej, musiałoby je podnieść, aby postawić tamę napływowi cudzoziemców, a nawet musiałoby postawić w nierównych warunkach samych paryżanów, którzyby w przeciwnym razie rzucili się wszyscy do najbardziej poszukiwanych dzielnic miasta. Gdy wielu ludzi pożąda rzeczy nielicznych, wtenczas przy darowiźnie, czy przy sprzedaży, nie można inną drogą dojść do zrównania ilości przedmiotów z ilością pragnących je nabyć, jak tylko za pomocą podniesienia ceny lub warunków darowizny i sprzedaży. Czyżby słuszniejszem było, gdyby wśród grona współubiegających się o jedno wspaniałe mieszkanie za tanią cenę filantropijne państwo wyznaczało dowolnie protegowanego przez siebie lokatora? Tak więc zarówno dla bezinteresownego państwa, jak i dla chciwych posiadaczów, granicą konieczną podniesienia ceny albo warunków posiadania byłaby taka, po za którą brakowałoby kandydatów, co przyjęcie lub kupno uważaliby dla siebie za korzystne, po zrównoważeniu wszystkich rozmaitych pragnień oraz różnych przekonań o użyteczności odpowiednich przedmiotów.

Formy i natura tego wewnętrznego ciążenia mogą się zmieniać i wydawać niejednakowe rezultaty; ono jednak zawsze ustala cenę. U ludzi zasad, którzy rządzą się raczej przekonaniami niż namiętnościami, chęć kupienia wytwarza się w chwili, gdy sądzą, że powinni nabyć raczej dany przedmiot, aniżeli inne tej samej ceny. Często, podczas namysłu nad dokonaniem kupna, nabywca porównawczo ocenia i zestawia części swego przekonania i części pragnienia. Naprzykład, stojąc między dwoma interesami, z których jeden daje od 3 do 4% i jest bardzo pewny, a drugi daje od 7 do 8% i nie jest tak pewny, zapytuję, co mam wybrać? Chodzi tu o sprowadzenie dwu ilości różnorodnych do wspólnej mia-

---

Ale to nie urzędnik, służący na poczcie. To król, pan świata, jeden z tych uprzywilejowanych stworzeń, które co wieczór gromowym głosem wstrząsają mury Odeonu, a którym dość wyrzec: „Niech go straż otoczy“ — by spełniono natychmiast ich rozkazy. W obecnej chwili jest on właśnie w swoim dworze, z drugiej strony kanału. W sandałach na nogach, udrapowany w szeroką delię, chodzi pod cieniem portyków, deklamuje, ściąga brew. Smutno grać w obec pustych krzeseł! A sala Odeonu tak pusta, tak chłodna w dniach przedstawień tragedyi! Nagle cesarz, na poły zamarły w purpurowej todze, uczuwa, że ciepły promień niespodzianie dotknął jego ciała. Wzrok jego zapala się, nozdrza rozdymają. Przypomniał sobie, że za powrotem do domu czeka go wygrzana izdebka, nakryty stoliki przygotowana lampa—spokój domowego ogniska tak drogi, tak cenny dla aktora, po wieczorze, wypełnionym namiętnościami a spędzonym na deskach teatralnych. W myśli odkrywa rądelek, nalewa na talerz.

Jakże miła, cudowna, ponętna woń kartoflanej zupy!

Od tej chwili odradza się, ożywia. Nic nie tamuje jego ruchów, ani blacha pancerna, ani marmurowe schody, ani ciężkie portyki. Zdaje się, że nabiera natchnienia. Wymowa porywająca, krok elastyczny, wspaniały. A jeżeli tam przygasł ogień? Im bardziej zbliża się ku końcowi przedstawienia, tem energiczniejsze ruchy, tem namiętniejsza gra. O cudzie! Odeon ożywia się! Zwykli goście na parterze, pozbywszy się wrodzonego osłupienia, twierdzą, że ten Marencour rzeczywiście majestateczny, szczególniej w ostatnich scenach. Tajemnica łatwa do odgadnięcia; w ostatnich aktach, w ostatecznem epizodzie rozwiązującym sztukę, w chwili stanowczej,.. gdy przebijają zdrajców, żenią księżniczki, twarz cesarza przybiera wyraz niewypowiedzianego, nieokreślonego szczęścia. Z pustym żołądkiem, znużony rozlicznemi perypetyami dramatu i rozwlekłymi monologami, wyobraża sobie, że jest w domu za małym stoliczkiem i uśmiech zadowolenia nie znika już z jego ust, jakby napawał się wonią rozkoszną apetycznej kartoflanej zupy!

ry, co byłoby niemożliwem, gdyby jedna z nich, to jest przekonanie (wiara), nie była granicą i początkiem drugiej, jej źródłem i spełnieniem.

Co się tyczy ceny, jej stałość nie jest jeszcze warunkiem słuszności, bez względu na to, czy ją ustanawia sprzedawca, czy robotnik, czy kupujący, lub właściciel. Czy jest ona słuszną wtedy, gdy ją określa żywa chęć wskutek swobodnego porozumienia się?

Warunki takiej swobody rzadko się mogą urzeczywistnić w zupełności, a przypuściwszy nawet, że tak jest, to skąd można wnosić, że zgoda dwu chęci posiada moc uczynić sprawiedliwą cenę, która bez tego byłaby niesprawiedliwą? Wtedy przed swobodnem porozumieniem się nikt nie byłby w prawie uważać jakiejbądź ceny za sprawiedliwą lub niesprawiedliwą, a poczucie moralności publicznej, które tak często protestuje przeciwko pewnym przyjętym wymaganiom, byłoby ocenione jako dziwactwo i kłamstwo.

Gdybyśmy usunęli pojęcie wolności i oparli się tylko na pojęciu równości dla ustalenia ceny sprawiedliwej, to i na tej drodze, według autora, błądzilibyśmy po omacku.

Nie można tu mówić, rozumie się, o cenie równej dla wszystkich, ale o proporcyonalnej do pracy, dochodu, lub potrzeb.

W oczach bezstronnego spostrzegacza cena jest wtedy słuszną, gdy obie strony znajdują zysk jednakowy, t. j. urzeczywistnienie pragnień równych chociaż różnych, albo równą pewność późniejszego zadowolenia równych pragnień, albo pewność nierówną zadowolenia pragnień nierównych, ale w taki sposób, że byłoby to kompensatą pomiędzy największą pewnością zadośćuczynienia pragnieniom najmniejszym a najmniejszą pewnością zadośćuczynienia najsilniejszym.

W kuźni np., która ma jednego właściciela i jednego robotnika, przypuszczalnie jednakowo zdolnych i gorliwych w pracy, świadek bezstronny uzna za słuszną zapłatę, daną przez właściciela robotnikowi, uwzględniając zysk pierwszego, gdy mniemana pewność robotnika o możności otrzymania sobie za tę cenę słabego stopnia dobrobytu wyda się równoważną z niepewną nadzieją dojścia właściciela do większej zamożności. Gdy jednak zyski właściciela są tak zapewnione, jak i zapłata jego robotnika, wydadzą się niesprawiedliwe, jeżeli będą od niej wyższe. Rozumie się, że inny stosunek zachodzi w wielkiej fabryce, gdzie sam przedsiębiorca tyle wpływa na produkcyę, dzięki swej przezorności i wynalazczości, ile wszyscy razem połączeni robotnicy. Dlaczego? Ponieważ tutaj pojęcie słuszności wikła się, nie zmieniając swej natury. Jeżeli słusznem się może wydawać to, że nabywca produktu albo pewnej usługi znajduje w kupnie korzyść równą tej, jaką wytwórca albo pracownik znajduje w sprzedaży, słusznem być powinno i to także, że zyski, wynikające ze sprzedaży, podzielą się między współ-wytwórców i współ-pracowników odpowiednio do ich udziału w pracy ogólnej.

Jeżeli idzie o rozdział zysków, dokonywa się on obecnie za pomocą dwu sposobów: jeden bezpośredni, używany wyłącznie aż do chwili obecnej, to jest, wynagradzalność (salariat), jak nazywają komuniści, inny, propagowany przez nich, mianowicie właściwy udział w zyskach. Ponieważ każdy wytwór płaci się w stosunku do usługi, jaką oddaje, a nie do pracy, którą zużył, zdaje się, że pracownik powinienby otrzymywać wynagrodzenie odpowiedne do usługi, którą oddał i którą sprzedaż uwydatni, a nie w stosunku do pracy, której przyszły rezultat, użyteczny albo nieużyteczny, jest jeszcze nie znany. Jednakże trzeba pamiętać o tem, że robotnik niema czasu czekać na sprzedaż swego produktu i że udział w zyskach obowiązuje do udziału w stratach. Ponieważ robotnik wymaga pewności zapłaty, a nietylko jej nadziei, musi zarazem przyjąć niewygody tej pewności, której potrzebuje i której korzyści odbiera. Możliwość zysków i strat jest zbytkiem, zostawionym dla tych, których potrzeby, to jest pragnienia, niejako nieskończone, bezwzględnie są zadowolone. Pragnienia najmniejsze, względne mogą same przez się być przedmiotem półpewności, przekonania względnego i słabego. Pragnienia zupełne wymagają wiary zupełnej i jej zadowolenia bezpośredniego, — bliskiego. Oto, czemu konieczność wypłaty trwa obecnie i trwać będzie tak długo, dopóki większość robotników nie będzie miała funduszów skapitalizowanych w ilości dostatecznej, aby mogła oczekiwać na sprzedaż owoców swej pracy. Zresztą zapłata bezpośrednia i w ogólnej masie ustosunkowywuje się lub dąży do ustosunkowania odpowiednio do zysków. W okolicach, gdzie są winnice, podnosiła się ona przed plagą filoksery, teraz zaś się obniża, chociaż praca robotników w winnicach jest równie uciążliwą. W tym razie, jak i wszędzie, robotnicy brali udział nietylko w zyskach, ale i w stratach, i tak zawsze będzie z tem dwojakiem jednak zastrzeżeniem: a) że udział robotników w stratach nie nadwyręży pewnego *minimum* wynagrodzenia; b) że udział ich w korzyściach nie przyniesie uszczerbku przywilejowi przedsiębiorcy, który narażając się na większe niebezpieczeństwa i mając prawo sądzić, że jego praca jest bardziej produkcyjną aniżeli innych, powinien w korzyściach mieć udział wyjątkowy.

Bez pierwszego zastrzeżenia nikt nie chiałby być robotnikiem, bez drugiego — przedsiębiorcą. Kompensata pragnień przez wiarę, i *vice versa* wyjaśnia to bez trudności.

Tak więc, podług Tarde'a, da się określić różnica ceny koniecznej, przymusowej od ceny słusznej, pożądanej. Pierwsza, wyznaczona przez czysty oddzielony hypotetycznie od wszelkiego uczucia bezinteresowny egoizm nabywcy, robotnika lub właściciela, który może narzucić swe prawo, jest wynikiem ciążenia psychologicznego, w którem równoważą się części pragnienia i części wiary wytworzone przez jeden osobnik. Cena słuszna, wyznaczona przez bezinteresowność lub przez fikcyjnego świadka, otrzymuje się przez sprowadzenie równowagi między częściami wiary i pragnień, należących do wielu osobistości odrębnych. Jestto rozwiązanie zagadnienia bardzo trudnego, ponieważ chodzi tu o sprawdzenie i zmierzenie uczuć albo grupp, uczuć nietylko różnych, ale doświadczanych przez różne osobistości, o przekroczenie jednoczesne podwójnej przepaści: różności osób i różności uczuć. Nic dziwnego, że pojęcie ceny słusznej, chociaż usilnie starano się ją osiągnąć, pozostało dotąd niejasnem. Byłoby to jednak dziwniejszem, gdyby pomimo tej niejasności nie odpowiadało ono niczemu rzeczywistemu. Jeżeli zaś się opiera na czemś trwałem, jeżeli sumienie całej ludzkości nie jest w tej mierze mylnem, jak twierdzi Tarde, stanowi to ważny argument na poparcie jego głównej idei. Podług niego, cały postęp ekonomiczny społeczeństw nieustannie potwierdza ten czysto psychologiczny pogląd. Ponieważ wielki przemysł powinien przewidzieć przyszłą spożywczość, zamiast cierpliwie wyczekiwać na bezpośrednie zlecenia klientów, a zatem postęp przemysłu obowiązuje do śmiałości, do uważnego baczenia na najmniejszy stopień w rozległość i natężenie przyszłych żądań spożywczy. Gdyby nowoczesny fabrykant wymagał pewności, zanim się rzuci w jakie przedsięwzięcie, prześcignęliby go bardzo łatwo współzawodnicy, tak samo jak uczonego lub filozofa, mającego też same wymagania. Potrzeba stawiać hypotezy w filozofii, robić wywody w nauce, a ryzykować w handlu.

Inne jeszcze podobieństwo wykazuje autor pomiędzy obecnym postępem przemysłu a postępem moralności i nauki współczesnej. Jak ten ostatni objawia się we wzroście ważności przywiązanej do półobowiązków, a postęp nauki w takimże wzroście metody indukcyjnej, podobnie postęp przemysłu nie ogranicza się na zaspokajaniu potrzeb ogólnych, uważanych zwykle za nieskończenie wielkie. ale pracuje także, aby odpowiedzieć żądaniom niepewnym, pragnieniom małym, zmiennym i falującym. Ponieważ takie pragnienia najtrudniej można przewidzieć, zatem postęp cywilizacyi zmusza fabrykantów, aby się zadawalniali pewnem *minimum* przekonania o użyteczności artykułów, które powinno odpowiadać pewnemu *minimum* pragnień.

Autor twierdzi, że ważnym argumentem, popierającym te rozumowania jest wzrastające znaczenie monety papierowej, która całą swą wartość chwilową otrzymuje wskutek aktu wiary i przekonania.

Podług niego, niedalekim jest dzień, w którym papiery zerwą ostatnie węzły nominalnej zależności od drogich metalów i wtedy pokaże się jasno, że ufność jest źródłem wartości.

KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

I.

Charakter panującego dziś kierunku w nauce polega głównie na tem, że opierając się w badaniu na faktach, których nam dostarczają obserwacya i doświadczenie, zachowuje on jaknajwiększą ostrożność w wyprowadzaniu wniosków, i chociaż ostateczny cel poznania widzi w uogólnianiu, w syntazie wiedzy, wszelkim hypotezom i teoryom przyznaje wartość tymczasową w oczekiwaniu, że przyszłe badania usprawiedliwią je lub obalą. Dzięki temu kierunkowi umysł ludzki zaczyna się otrząsać powoli z uprzedzeń i przesądów, otrzymanych w spadku po wiekach poprzednich, zaczyna trzeźwiej zapatrywać się na rzeczy tego świata i śmielej wkoło siebie się rozglądać. Wodzony dotąd na pasku powagi, próbuje stawiać kroki o własnych siłach i zuchwałą dłonią zrywa zasłonę z tajemnic, przed któremi dotąd wolno mu było zatrzymywać się w milczeniu z kornem nachyleniem głowy. Wszystko, co mu dotąd podawano za prawdę bezwzględną, w co wierzyć kazano, jak w dogmat, stojący po nad rozumem, poddaje on ścisłemu rozbiorowi i, za jedyny probierz uważając doświadczenie, to tylko przyjmuje, co się nie sprzeciwia ustalonym zasadom nauki.

Ten kierunek współczesnej cywilizacyi zawadził i o nas w dziejowym swym pochodzie. Jakoż zawdzięczamy mu już pewne korzyści, przedewszystkiem tę, że staliśmy się mniej łatwowiernymi i większą zwracamy uwagę na naturalny bieg rzeczy.

Jednakże nie mamy jeszcze z czego być tak bardzo dumni. Wprawdzie pozbyliśmy się grubych przesądów i uprzedzeń, krępujących swobodę myśli i uczucia; przestaliśmy hołdować metafizycznym wybujałościom i szukamy dziś prawdy nie w deklamatorskiej frazeologii, obliczonej na wrażenie, ale w dowodach i w faktach doświadczenia; dla wszelkiego rodzaju hipotez i teoryi, w których więcej czynną jest fantazya, niż rozwaga i wiedza, mamy dziś uśmiech politowania, chociażby skądinąd odznaczały się szczytnością pomysłów; — ale niechże się spotkamy oko w oko z czemś nadzwyczajnem, z czego nie możemy zdać

sobie sprawy, nie możemy wykryć przyczyny, a wnet budzą się w nas stare narowy i, niecierpliwi rozwiązania zagadki, rzucamy się w awanturnicze przypuszczenia snujemy teorye, które jednego tylko dowodzą: że zarówno w nauce, jak i w życiu kierujemy się bardziej temperamentem, niż zasadami. Że to, co powiadam, nie jest żadną przesadą, świadczą o tem najdosadniej wszystkie owe domysły, przypuszczenia i komentarze, do jakich powód dały najprzód przedstawienia somnambulistyczne p. Donato, a następnie doświadczenia tegoż rodzaju p. Ochorowicza.

Do takich domysłów i przypuszczeń zaliczam następujące twierdzenia:

1) Zjawiska somnambulizmu są objawem magnetyzmu zwierzęcego.

2) W somnambulizmie należy upatrywać działanie nowej jakiejś, nieznanej nam dotąd siły.

3) Jakkolwiek dotąd nie stwierdzono naukowo, ażeby osoba w stanie somnambulistycznym mogła *przenikać* myśli magnetyzera, jednakże zaprzeczać tego *a priori* nie można i potrzeba czekać, co dalsze doświadczenia o tem powiedzą.

Przed kilkudziesięciu laty, jakto powszechnie wiadomo, cieszyła się nadzwyczajnem powodzeniem praktyka wędrownych magnetyzerów, którzy za pieniądze wywoływali wobec zdumionego tłumu cudowne zjawiska jasnowidzenia. Wierzono wtedy, że cuda te dokonywają się pod wpływem nowej siły, a przynajmniej zostającej dotąd w ukryciu. Siła ta nazwana przez Mesmera *magnetyzmem zwierzęcym*, miała znajdować się w niektórych jednostkach w większym niż zwykle zasobie. Dzięki temu, mogły one pewne osoby wprowadzać w stan podobny do snu, podczas którego umysł ich wyzwalał się z ograniczeń zmysłowych i stawał się naraz świadomym wszystkiego, co się działo w czasie i przestrzeni. Ustaleniu się tej wiary sprzyjał dzielnie ówczesny stan oświaty, mającej główne swe ognisko w romantyzmie, przejętym nawskroś duchem mistycyzmu, oraz stanowisko, jakie zajmowały wówczas fizyka i biologia.

W fizyce panowało wtedy przekonanie, że ciepło, światło, elektryczność i magnetyzm są płynami nieważkimi, które, rozlane we wszechświecie, przenikają wszystkie ciała i mogą w nie wchodzić lub wychodzić z nich, spowodowując w ten sposób zmiany i stanowiąc podstawę zjawisk natury. Co się tyczy biologii, ta będąc wówczas w niemowlęctwie, zostawała pod czujną opieką bądź religijnych dogmatów, bądź doktryn, nacechowanych spirytualizmem albo mistycyzmem. O stosunku wzajemnym ciała i duszy wygłaszała ona twierdzenia, które były logicznymi wynikami metafizycznych pojęć, nie zaś wnioskami z doświadczenia. Tradycyjny dualizm panował w niej wszechwładnie.

Od tego atoli czasu zaszła ważna zmiana w naszych pojęciach i sposobach badania. Rozwój nauk przyrodniczych postąpił tak daleko, że musimy ich dane uważać dzisiaj jako wytyczne znaki, wskazujące, w jakim kierunku dążyć i do jakiego kresu dojść mamy w naszych badaniach. Metoda doświadczalna, używana dotąd wyłącznie w zakresie materyalnego świata, przeniesioną została w dziedzinę zjawisk duchowych. W biologii, psychologii i socyologii miejsce metafizycznych pojęć zajęły fakta, których nam dostarcza obserwacya i doświadczenie, miejsce apriorystycznych wywodów — indukcyjne wnioski.

Przestała już dziś nauka zapatrywać się na siły fizyczne, jako na czynniki materyalne, mające swój byt własny, odrębny od zjawisk, za pomocą których objawiają się; przestała je uważać za płyny nieważkie. Pojmuje ona je dzisiaj, jako odmienne formy ruchu zarówno ciał, jak i ich cząsteczek; we wszystkich zjawiskach dźwięku, ciepła, światła i elektryczności stara się oddzielić to, co stanowi ich stronę przedmiotową, od tego, co zależnem jest od warunków zwierzęcej organizacyi. Biologia ze swej strony zerwała raz na zawsze z dogmatycznym dualizmem. Lubo nie zaprzecza dwustronności życia i ściśle odróżnia w niem sprawy cielesne od psychicznych, uważa je jednakże tylko za dwie strony jednej i niepodzielnej całości, jaką jest organizm zwierzęcy. Potwierdzenie swego zapytrywania znajduje ona w faktach, wykazujących, że we wszystkich objawach życia, zarówno prawidłowych, jak chorobowych, zachodzi jaknajściślejsza odpowiedniość między obu jego stronami, tak że nie ma ani jednego objawu umysłowego, który by mógł powstać niezależnie od warunków, jakie znajduje już dla siebie gotowe w cielesnej organizacyi, i któryby nie oddziałał na tęż organizacyę, spowodowując w niej pewną zmianę fizyologiczną.

Czy z temi zasadami, stanowiącemi podwaliny współczesnej wiedzy, dadzą się pogodzić owe trzy twierdzenia, o których powyżej nadmieniłem? Czy nie zostają one w jaskrawej z niemi sprzeczności? Zastanówmy się nad tem. (D. c. n.)

WOLNA WOLA
i mechaniczne jej skutki.

II.

Skoro tylko *wolność* wywiera swój wpływ na porządek zjawisk, wówczas droga, przebiegana przez ciało ruchome, musi się zmienić odrazu i gwałtownie.

Tylko mechanicznemi przyczynami można objaśnić tego rodzaju zmiany.

Wyrażając się naukowo, wyznać musimy, iż niepodobieństwem jest zgodzić się na to, aby siła, równie jak materya, mogła być stworzoną. Istoty żyjące, podobnie jak martwe, nie są zdolne do stworzenia ruchu. Zmiany w ich położeniu są tylko rezultatem przemiany sił.

Jeszcze kilka objaśnień. Wiadomo, że położenie lub ruch środka ciężkości danego systematu nie zależy wcale od zmian, jakie w nim zajść mogą, wskutek działania sił w tym systemacie zawartych.

Jeśli pocisk działowy wybuchnie w powietrzu i rozrzuci na wszystkie strony małe odłamki, pomimo to wspólny środek ciężkości tych rozbiegających się w rozmaitych kierunkach odłamków będzie zawsze zajmował takie położenie, w jakiemby się znajdował i w tym razie, gdyby nie wybuchnął i biegł jako jednolita kula.

Jeśli aeronauta wypadnie z łódki balonu, wtedy jego środek ciężkości posuwa się zawsze po linii prostej, pionowej — chociażby sam aeronauta w chwili spadania wykonywał najrozmaitsze ruchy całem swojem ciałem. Rozumie się, że w tym ostatnim razie nie należy przyjmować pod uwagę ani tarcia o powietrze, ani też poziomej składowej ruchu balonu.

Inny przykład. Jeśli wyobrazimy sobie, że jakieś zwierzę jest zawieszone na nici nieruchomej i niegiętkiej, wówczas środek jego ciężkości wcale nie zmieni swego położenia, bez względu na to, jakie ruchy samo zwierzę będzie wykonywało. Przypuśćmy teraz na chwilę, że w pobliżu jest zawieszone jakieś inne ciało. Zwierzę będzie mogło z jego obecności korzystać, albo przyciągając się do niego, albo też odpychając się od niego, i w tym razie jednak wspólny środek ciężkości całego systematu, (t. j. zwierzęcia i ciała) pozostanie nieruchomym, wszystkie zaś zmiany położeń jego oddzielnych części odbywać się będą około tego nieruchomego środka.

Ruchy więc samego zwierzęcia nie mogą żadną miarą wprowadzić nowych sił do systematu, którego częścią jest owo zwierzę.

Czy ono jest twórcą sił, wywołujących zmiany w położeniu oddzielnych części organizmu? Bynajmniej. Zużywa jedynie siły, złożone w niem i wzięte z zewnątrz wraz ze spożytymi pokarmami. Pokarmy znów roślinne, powstając pod wpływem promieni słońca, pochłonęły pewną ilość ciepła, zużytego na oddzielenie jednych pierwiastków od drugich; pierwiastki te, łącząc się ponownie w ciele zwierzęcia, dostarczają mu siły mięśniowej. W ten więc sposób ścisła analiza doprowadza nas do wniosku, iż ruchy zwierząt, bez względu na to, czy są dowolne, czy też nie, mają ostatecznie swe źródło w słońcu, owym olbrzymim zbiorniku siły. Ta ostatnia znowu polega jedynie na różnicy pomiędzy temperaturą tej gwiazdy i ciał, które ogrzewa. Różnica ta powoli maleje, wskutek czego nastąpić musi koniecznie chwila, w której słońce nie będzie już w stanie zasilać życia. Wtedy to, nawet istoty *wolne*, w przypuszczeniu, że są takie na świecie, stracą wszelką możność działania.

Jeżeli tak jest istotnie, jeżeli wolność (wolna wola) nie ma siły stwarzania, jeśli przytem nie jest ona czczą nazwą błędnego i fałszywego pojęcia, to jakież być może pole jej działania, jakimi środkami posługuje się, by ujawnić na zewnątrz swą działalność?

Pozostaje jej jedynie czas, owo źródło tajemnicze wszystkiego, co było, co jest obecnie i co w przyszłości stać się musi.

Wolność (wolna wola) rozporządza czasem. To jej wystarcza, jak się przekonamy. Określmy więc istotę wolną (obdarzoną wolną wolą) jako mogącą zawiesić samodzielnie swą działalność, by ją wywrzeć następnie w chwili dowolnie wybranej. Istota więc wolna, według takiego określenia, jest zbiornikiem sił napiętych (energii położenia), które może wedle swego dowolnego wyboru wyswobadzać i zamieniać na siły żywe (energię widzialnego ruchu) w tym lub owym momencie czasu. Rzeczywistość ukazuje nam wokoło tego rodzaju wolność, zwykle ograniczoną, zawartą w pewnych przedziałach czasu — lecz to nas może nie zajmować obecnie.

Siłę napiętą (energię położenia) przedstawia nam staw wysoko położony i napełniony wodą. Stawidło zamyka go — woda więc pozostaje w spoczynku. Istota wolna, której zadaniem jest podniesienie stawidła, może tego nie uczynić w danej chwili. Na czem że więc polega owa możność powstrzymania się od tego zadania?

Stanowi to, jak rzekliśmy wyżej, zupełnie odrębną kwestyę, której tu rozbierać nie będziemy. Zważmy tylko, że wcale nie rozwiążemy zadania, przypuszczając, iż podniesienie stawidła jest działaniem pewnej osobnej siły, któraby zwalczała opór stawiany przez istotę wolną. Wtedy bowiem nie może być nawet mowy o konieczności podniesienia stawidła przez istotę wolną, gdyż ta konieczność nie istniałaby wcale. Musimy tu koniecznie dobrze wniknąć w nasze porównanie i założenie: polega ono na tem mianowicie, że zatrzymanie się chwilowe z podniesieniem stawidła nie wymaga wcale żadnego wydatku siły. Do utrzymania upustu w zamknięciu nie potrzeba żadnej siły. Do otwarcia go potrzeba pewnej, zresztą tak małej, jak się podoba, lecz zawsze jednakiej — bez względu na to, czy ona wykona swe działanie wcześniej, czy później. W taki właśnie sposób należy pojmować istotę wolną. Może ona złożoną w niej siłę napiętą zużyć i zamienić na siłę żywą — dziś lub jutro, wcześniej lub później — nie spotrzebywując na powstrzymanie jej działania żadnej energii. Wtedy to — i tu właśnie spoczywa główny punkt kwestyi — ogólna suma energii systematu nie zmienia się wcale, ponieważ siła owa (podnosząca stawidło)

wedle założenia może się objawić wcześniej lub później. Wyobraźmy sobie naczynie z prochem. Czy wybuch nastąpi dziś, czy jutro, skutek jego mechaniczny pozostanie jednakowym. Lecz dziś, w dniu pracy, na około prochu znajduje się mnóstwo ludzi, setki ich zostaną przez wybuch zabite; jutro, gdy będzie święto, eksplozya zburzy tylko mury pustej fabryki. To znaczy, że w tym odstępie czasu, przez który wybuch został wstrzymany, uległy zmianie wszystkie stosunki, które tylko jej ulegać mogą.

Porównanie Delboefa ze stawidłem pozwolimy sobie wyłożyć nieco obszerniej i— jak mniemamy — nieco jaśniej, ażeby czytelnik mógł się w niem dokładnie zoryentować. Wprowadzenie kwestyi wolności woli z dziedziny stosunków życiowych i psychicznych na pole mechaniki jest pomysłem nader godnym uznania, lecz ostrożność przy stawianiu założeń musi być niezmiernie wielka. Najmniejszy bowiem błąd w założeniu ukaże się nam tysiąckrotnie pomnożony w ostatecznym wyniku, chociażby nawet rozumowanie całe, na mylnem założeniu oparte, było przeprowadzone wedle najściślejszych prawideł wywodu matymatycznego.

Rozpatrzmy sumiennie, co właściwie Delboef nazywa *istotą wolną*, i czy do tak pojmowanej istoty można stosować prawa mechaniki racyonalnej, tej korony, a zarazem i podstawy nauk doświadczalnych.

Istotę *wolną* (w swej woli) Delboef pojmuje jako siedlisko siły, która może wywrzeć działanie, lub też go nie wywrzeć (podnieść stawidło, albo go nie podnieść), chociaż jej nie powstrzymuje żadna przeszkoda. To, że istota wolna ma posiadać (według Delboefa) *siłę niewywierającą działania* (nie podnoszącą stawidła), choć nic nie stoi na przeszkodzie (do podniesienia stawidła), jest założeniem zupełnie błędnem i fałszywem, gdyż sił *niewywierających działania* mechanika nie zna i znać nie może.

Siły nikt nie widział, widzimy tylko jej działania, i tam tylko, gdzie widzimy to działanie, dla ułatwienia rozumowań, wprowadzamy pojęcie *siły*. Jeśli więc jakakolwiekbądź istota żadnego działania nie wywiera, to mechanika nie może w niej upatrywać siły. Należy dobrze to zrozumieć, że w mechanice nie wyprowadzamy ruchu z sił, których nie znamy i nie widzimy, lecz idziemy drogą wprost odwrotną: t. j. z ruchu, który widzimy, wyprowadzamy dla bardzo ważnych przyczyn bardzo abstrakcyjne pojęcie siły. Mówić o takiej sile (w znaczeniu mechanicznem), która nie działa, jest to samo, co mówić o tem, czego niema; mechanika takich sił nie zna, a więc i jej prawa do takich sił nie mogą być stosowane. Magnes, któryby nie przyciągał żelaza i dla fizyka i dla mechanika i dla każdego logicznie myślącego człowieka przestałby być siedliskiem siły magnetycznej. Pojąć siły niedziałającej nie zdoła nikt, kto wie, w jaki sposób urobiło się naukowe jej pojęcie: wyprowadzono je ze skutków, idąc od konkretnego do abstrakcyjnego, a nie naodwrót, jak to czyni Delboef. Pomimo ten błąd w założeniu, pracę jego niemal w całości przytaczamy, gdyż stanowi ona dowód, że praw mechaniki z dowolnością wolnej woli pogodzić nie można, że przynajmniej nie godzi ich Delboef.

Powróćmy do niego.

Mamy więc przed sobą jasno postawione zadanie. Należy nam zbadać mechaniczne skutki opóźnienia w wykonaniu jakiegokolwiekbądź aktu dowolnego.

Jedno mgnienie oka, jak mówią, wystarcza do objęcia wszechświata. Jakie wynikłyby zmiany, gdybyśmy spojrzeli na świat o jedną sekundę później? Oto jest jedna z nieskończenie wielu postaci, jakie można nadać zajmującemu nas zadaniu.

Zadanie to na pierwszy rzut oka jest nierozwiązalnem, na szczęście jednak możemy je uprościć do ostatecznych niemal granic.

Czem jest wszechświat materyalny? Jest on zbiorem punktów będących w ruchu. Punkty te są połączone ze sobą wedle pewnych określonych stosunków i tworzą grupy, którym można przypisywać względną niezależność. Tak np. człowiek, odbywający podróż na bryczce, może zupełnie nie zwracać uwagi ani na ruch ziemi około osi, ani też na jej ruch około słońca.

Sprowadźmy więc wszechświat do najprostszej formy, w jakiej go pomyśleć można. Przedstawmy sobie mianowicie, że stanowi on linię prostą, ograniczoną, poruszającą się ruchem jednostajnym w kierunku swej własnej długości. Wybraliśmy tu ruch jednostajny z tego powodu, iż stanowi on zasadniczą formę ruchu mechanicznego.

Przypuśćmy teraz, że zewnątrz tej linii znajduje się punkt obdarzony siłą wolną i że on może działać na ową linię w kierunku do niej prostopadłym, przyczem, naturalnie, musi się koniecznie zmieniać położenie jego środka ciężkości.

Przypuśćmy dalej, że ów punkt *wolny* niema żadnego ruchu w kierunku linii. Przedewszystkiem musimy na niej wybrać jakikolwiek punkt, któryby nam wskazywał szybkość, z jaką się ona przenosi. Gdyby i uważany przez nas punkt wolny był również ożywiony ruchem, wtedy należałoby brać pod uwagę różnicę szybkości punktu i linii.

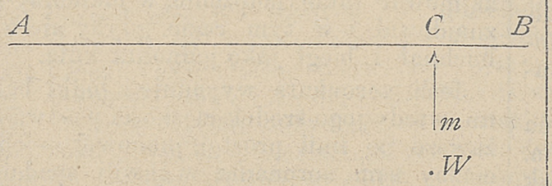
Możemy wyłączyć z pod rozpatrywania ten wypadek, w którym szybkość punktu równałaby się szybkości linii, co naprzykład działoby się wtedy, gdyby *punkt wolny* znajdował się na samej poruszającej się linii. Istotnie, dla takiego punktu czas nie istniałby wcale, gdyż wszystkie momenty byłyby zupełnie jednakowe. Do podobnegoż wniosku musielibyśmy przyjść, gdybyśmy naszej przypuszczalnej linii nadali długość nieskończenie wielką.

Po uczynieniu tych wstępnych określeń rozwiązanie zadania staje się nad wyraz łatwem.

Niech AB (fig. 1) będzie linią materyalną, poruszającą się od A do B w kierunku swej własnej długości, niech nadto punkt W będzie istotą wolną, posiadającą możność działania na prostą AB i odchylania jej. Wiemy, że środek ciężkości systematu nie może zmienić swego położenia, że zatem w chwili, w której prosta AB zmieni swe położenie i punkt W także zmienić je musi.

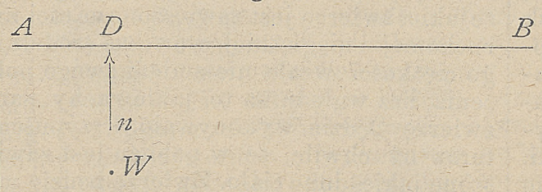
Zróbmy teraz dwa kolejnie po sobie następujące przypuszczenia:

fig. 1.



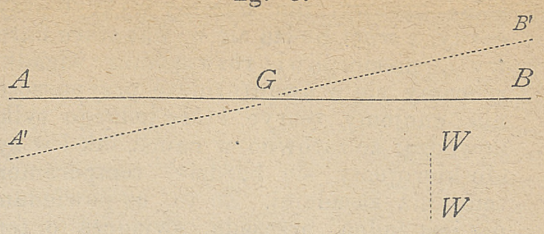
W pierwszem przypuszczeniu (fig. 1) *wolny* punkt W działa z siłą mC wówczas gdy naprzeciwko niego znajduje się punkt C.

fig. 2.



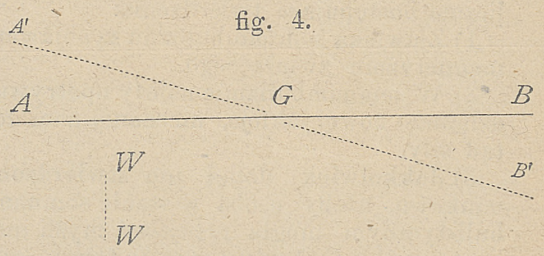
W drugiem przypuszczeniu (fig. 2) punkt wolny W wtedy dopiero zaczyna działać, gdy już przed nim przebiegła część CD uważanej linii t. j. wówczas gdy naprzeciwko niego znajduje się punkt D. Jeszcze raz dodajmy tutaj, że wobu razach ogólna energia systematu pozostaje jednakową.

fig. 3.



Pomimo to jednak systemat przedstawiany na fig. 1. nie jest identyczny z systematem fig. 2. Ruchy obrotowe i postępowe obu systematów są zupełnie różne. O tem

fig. 4.



może przekonać się każdy, znajdujący się zewnątrz systematu i mogący porównywać to, co się istotnie dzieje, z tem, coby być mogło. Przypuśćmy, że w G jest środek ciężkości linii i że odległość WW' i kąt BGB są odpowiadającemi sobie zmianami położeń linii i punktu W w pewnym oznaczonym czasie. W takim razie otrzymamy dwie figury A, B, W, (fig. 3 i 4).

Cóż więc trzeba dla przejścia od jednej do drugiej? Dla tem większej prostoty zapomnijmy na chwilę o ruchu punktu W i zważmy tylko ruchy samej linii AB. Otóż jest rzeczą jasną, że aby stan rzeczy, przedstawiony na fig. 3. zamienić na ten, jaki przedstawia fig. 4. lub odwrotnie, dość jest wprowadzić w systemat parę sił równoległych i znaków przeciwnych, $n'C$ i nD (fig. 5).

fig. 5.



Siły $n'C$ i mC wzajemnie się znoszą, pozostaje więc tylko siła nD, co nam daje systemat wyobrażony na fig. 2 i 4.

Tak więc, pomiędzy jednym i drugim systematem, to jest tym, jaki istnieje rzeczywiście, i tym, jaki mógłby się urzeczywistnić jest różnica, dająca się ściśle wymierzyć za pomocą pary sił. Para ta nadaje ruch obrotowy w tej płaszczyźnie, w której działa.

Co się tyczy wielkości (momentu tej pary) to jest on równy iloczynowi z siły, jaką wywiera *wolny punkt* W przez ramię drąga CD. Wielkość tego ramienia CD zależy jedynie od przeciągu czasu, jaki upłynął pomiędzy przejściem z jednego położenia do drugiego. Moment więc tej pary jest proporcyonalny do czasu, przez który działalność punktu W była w zawieszeniu. Z tego ostatniego zdania nie będziemy na tem miejscu wyprowadzali wszystkich wynikających zeń wniosków.

Aby ów czas zawieszenia działalności istoty wolnej był czemkolwiek, niezbędnem jest, aby linia AB poruszała się. Gdyby bowiem ona była w spoczynku, wówczas nieskończenie nawet długie zawieszenie działalności wolnego punktu W nie wprowadziłoby do systematu żadnej zmiany. Wszędzie gdzie tylko panuje spoczynek, niema wcale czasu. Czas jest tylko ruchem przedmiotów.

Scharakteryzowaliśmy już wolność jako potęgę, której skutków zgóry przewidzieć nie można, gdyż ruchy, wykonywane do-

wolnie, nie są bezpośredniem następstwem już dokonanych. Teraz pojmujemy, dlaczego tak się dzieje, a nie inaczej. Wyobraźmy tylko sobie z jednej strony punkt, biegnący po linii prostej, na płaszczyźnie; jeśli przytem sama płaszczyzna będzie odbywała ruch około jakiegoś punktu, który się porusza niespodzianie, z szybkością zmienną — wówczas rzecz prosta, iż droga przez punkt taki przybyta będzie dziwaczną, dowolną i niedostępną do zbadania.

Taką też jest działalność istot żyjących. Wszędzie, gdzie spostrzegamy ruchy zmienne, przerywane i raptowne—odnajdujemy i życie i wolę wolną.

W gruncie rzeczy — tak kończy Delboeuf — skoro tylko wolność *już* wywarła swe działanie lub *już* je wstrzymała, wtedy porządek biegu zjawisk staje się nieodwołalnym, fatalnym. W przeszłości więc niema wcale miejsca dla swobody woli. Wolność rozporządza czasem, lecz tylko czasem obecnym, a więc pośrednio i przyszłością. Fataliści odejmują wolności jednym zamachem i teraźniejszość i przyszłość. Dla nich niema różnicy pomiędzy czasem, który jest za nami, i tym, na który oczekujemy. Przyszłość dla nich jest tem, co się stać musi i co nie może się nie stać. Dla zwolenników wolnej woli, przynajmniej część przyszłości jest możliwością; z pomiędzy zaś rozmaitych możliwości tylko pewna część zmienia się na rzeczywistość. Tak więc przeszłość, przynajmniej w części, mogła nie być taką, jak była. W takim razie i teraźniejszość mogłaby być inną, niż jest obecnie. Otóż ta część przeszłości, która mogła była być inną, jest dziełem istot wolnych, które ją wywołały. Ten pogląd podzielają wszyscy, bez względu na swe przekonania filozoficzne. Nikt w ostatnich głębiach swej myśli nie wierzy w bezwarunkowe przeznaczenie. Nikt nie uważa się za narzędzie w ręku ślepego i nieubłaganego przeznaczenia. Pomimo różnorodności systematów, każdy z nas odważnie występuje do walki z przyrodą, aby ją podbić, zrobić z niej służebnicę, nagiąć do swych planów, skierować zawarte w niej siły ku naszym celom. W ten to sposób dążymy do podbicia świata, dorzucając swe wysiłki do zdobyczy przeszłych pokoleń.

Pomijając zupełnie końcowy, deklamacyjny ustęp artykułu Delboefa, zaznaczamy tylko, że i jego teorya, jeśli wolności woli zupełnie nie wyklucza, to przynajmniej ogranicza ją do możliwych minimów. Nie mówiąc już o przytoczonych wyżej twierdzeniach Boussinesqa, które tylko w pewnych, nieskończenie krótkich momentach czasu pozwalają istotom być wolnemi, — wolnemi względnie (prosimy tu czytelnika o przypomnienie sobie przykładu z punktem spadającym po prostej na wierzchołek ostrokręgu) przyznać musimy, że teorya ta, choćby była usprawiedliwioną, daje istotom wolnym bardzo małe atrybucye, nieusprawiedliwiające słów końcowych. Istota wolna może wedle tej hypotezy jedynie tylko albo przyspieszyć, albo opóźnić dany akt, ale ani jego natężenia, ani też sposobu zmienić nie jest wstanie. Że wprowadzenie takiego założenia do mechanicznego traktowania ruchów niema żadnej podstawy, to już, jak mniemamy— dowiedliśmy we wtrąconych wyżej uwagach.

I. I.

MALARSTWO POLSKIE.

Czasem pohamowanie się na dobre wychodzi nawet gieniuszowi. Najlepszym tego dowodem nowy obraz Matejki *Chrzest Kazimierza Warneńczyka*, znajdujący się obecnie na wystawie p. Krywulta. Artysta podjął tu temat czysto dekoracyjny, obrzędowy i przedstawił go z wielkim spokojem i powagą, odpowiednią uroczystości przyjęcia królewskiego potomka do owczarni kościoła. Mistrz krakowski tego rodzaju przedmioty oddawał niespokojnie i jaskrawo; tu gienialne rozmachanie pędzla ustąpiło skończoności i sile ujętej w karby. Przed drzwiami świątyni na krużganku uszykował się uroczysty orszak, witany przez Zbigniewa Oleśnickiego, który w imieniu papieża ma dokonać obrzędu. Królewicza trzyma na rękach inny dostojnik kościoła, po za nim grupa panów i dygnitarzy, a na końcu królewska para z gronem niewiast dworskich. Orszak stoi tak, że zajmuje obraz wzdłuż całej długości, co artyście dało możność uwydatnienia charakterystyki każdej postaci. Szczególniej doskonałe są figury Zawiszy Czarnego, trzymającego sztandar, oraz samego Jagiełły, który odwraca się do małżonki z poważnym gestem. W szczegółach znać na każdym kroku rękę wielkiego mistrza, koloryt, jak zwykle u Matejki, świetny, chociaż tymrazem nie krzyczący, tło architektoniczne piękne, nawet skrawek nieba, ukazujący się z po za murów i dachów kościelnych, posiada rzadko spotykaną w innych obrazach mistrza właściwość tonu. Chociaż przedmiot obrazu nie imponuje, przymioty wszakże jego zadawalniają tych nawet, którzy nie mogli się zgodzić z przesadą ostatniej maniery wielkiego artysty.

Lekceważenie natury bywa zwykle klęską dla talentu. Dość spojrzeć na obraz p. Pruszkowskiego *Wilkołak*, aby się przekonać, na jakie to manowce wiedzie czasami rozigrana wyobraźnia gardząca studyami. Widzimy tu śpiącą na śniegu dziewczynę, do której przychodzi zdradliwy wilk, będący, według podania, zmienionym w to zwierzę człowiekiem. Dziewczyna ładna, spi sobie smacznie, a musi być niezmiernie lekka, skoro się unosi jakby w powietrzu. Na lewo, tuż nad nią, płącze się siatka gałęzi, oprószonych śniegiem, które wyglądają jakby na jednej płaszczyźnie chimerycznie poukładane wałki waty. Głębia leśna także tonie w nieokreśloności a cały obraz jest majaczeniem kolorystowkiem, bezskuteczną gonitwą za efektem oryginalności.

Żywe i słuszne zajęcie wśród koła miłośników malarstwa obudziły trzy nowe obrazy p. Wilhelma Kotarbińskiego, będące prawdziwą okrasą Salonu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Widać w nich energię rzeczywistego talentu, który wstąpił na właściwe sobie tory. Na niwie religijnego malarstwa Kotarbiński nie mógł znaleźć dla siebie właściwego zagona. Bo też w dzisiejszej epoce trudno zaprawdę o ascetyczny nastrój i „kruchcianą“ wiarę, będącą dźwignią dzieł sztuki religijnej. Zamiast malowania przedmiotów, których czas dzisiejszej epoki nie może odczuć szczerze i naiwnie, artysta odtworzył wrażenia świata, który go otacza, i dla tego obrazy jego zadrgały wdziękiem i życiem niepodrobionem. Prześliczną jest zwłaszcza *Gondola wenecka*, mknąca po lagunach wśród mgły i ciszy szarzejącego, pięknego grodu syreny. Na przedzie z owiniętej splotami kwiatów lampy miga płomień różowy, na środku w niedbałej pozie leżą dwie kobiety, słuchające śpiewu arfisty i jego towarzyszki; w drugim zaś końcu łodzi rysuje się pyszna ciemna sylweta wiosłującego gondoliera. Znać, że gondola mknie cicho a sennie, koło niej unoszą się nad wodą żwawe rybitwy, w dali za mgłą szarzeją gmachy miasta. Gdy spojrzymy na obraz przysłoniwszy nieco oczy, złudzenie jest tak wielkie, jakbyśmy naprawdę mieli przed sobą kołyszące się fale Adryatyku i miasto w mrocznej oddali. Perspektywa powietrzna, przejrzysty ton mgły, oddane są tutaj po mistrzowsku, cały zaś obraz tchnie tym napół sennym, napół tajemniczym urokiem, jaki często rostacza włoska przyroda. Artysta miał tu sposobność rozwinięcia swego szerokiego sposobu malowania, który nie pieści się ze szczegółami, ale osiąga efekt ogólnej prawdy danego momentu optycznego, w sposób łudzący zarazem i poetyczny. Dwa inne obrazy p. Kotarbińskiego: *Libelle* i *Wieńczenie hermów*, należą do tej samej kategoryi, co płótna Siemiradzkiego, odtwarzające pamiętne sceny z życia starożytnego świata. Na pierwszym widzimy dwie kobiety, stojące na kamiennej cembrzynie przy źródle. Jedna z nich rzuca na wodę listki róży, druga spogląda na unoszące się w powietrzu szklarki. Twarze kobiet piękne, ale nie mają dosyć życia i wdzięku w układzie; tło krajobrazowe traktowane niezmiernie oryginalnie pod względem wyboru motywu. Okryte pękami kwiatów, wyglądające z za muru gałęzie, dalej strzelająca w górę smukła topola na tle nieba oświeconego resztkami dziennego światła, na przedzie strumień świeży — wszystko to powabne, malowane poetycznie, śmiało, chociaż niektóre szczegóły obrazu, jak np. przestrzeń pomiędzy pierwszym planem a głębią na lewo, pod względem techniki są nieco wadliwe. Obraz, przedstawiający znany rzymski obyczaj wieńczenia wiosennego słupów hermesowych, ma dużo wdzięku, ale razi nadmiarem białego tonu oraz niejasnością głębi. Wszystkie te dzieła są płodem talentu niepospolitego i samoistnego. P. Kotarbiński jest prawdziwym kolorystą, posiada w malowaniu wielki powab i miękkość, niewyłączającą śmiałości techniki, a nadewszystko okazuje poetyczny i oryginalny pogląd na przyrodę, której uroki daleko lepiej czuje, aniżeli piękności człowieka.

Do względnie szczęśliwych debiutów należy też znajdujący się w Salonie p. Ungra obraz krakowskiego artysty Herncisza *Wyświecona*, przedstawiający wstrętną chwilę znanego z dziejów miast naszych barbarzyńskiego obrzędu. Bohaterka a raczej ofiara tej smutnej sceny stoi pół naga na ganku krakowskiego ratusza, owinięta białą płachtą, dokoła zebrany tłum spogląda na nią ciekawie, a chłopcy zapalają już żagwie słomiane, któremi mają przypiekać w sromotnym pochodzie winowajczynię, dotkniętą surowym wyrokiem magdeburskiego prawa. Scena pojęta i skomponowana naturalnie, ale w układzie brak jej życia, brak ruchu dramatycznego, brak oddania całej gamy uczuć. Pod tym względem autor z powodu samego wyboru tematu naraził się na niebezpieczne porównanie z Rossowskim, który w swej *Skazanej* tak pięknie umiał połączyć wyrazistość sceny obyczajowej z przeprowadzeniem całej gamy psychologicznej uczuć i wrażeń, spływającej się w jedność ogólnego nastroju. Tutaj wszystkie postacie stoją, ale nie żyją, każda fizyognomia studyowana z natury, ale tylko zewnętrznie, bo artysta nie umiał tchnąć w nią duszy, sama zaś *Wyświecona* tak obojętna jest wobec tego, co ją czeka, jakby ją np. proszono do tańca. Pod względem talentu obraz jest widocznym płodem matejkowskiego wpływu. Artysta jest w tej fazie, co wiele talentów, które muszą przebyć epokę naśladownictwa, zanim samodzielnie rozkwitną. Czuć jednak talent, widać poczucie techniki, dążenie do wyrazistości i siły rysunku właściwie szkole krakowskiej, które w każdym razie jest lepszem, aniżeli zamiłowanie w chlapaninie i tuzinkowym naturalizmie.

M. K.

LIBERUM VETO.

Wojski, Kusy i Sokół, oraz biedny szarak z wyskubaną „odpowiedzialnością moralną.“ —Przejście do porządku dziennego. — Zakład Magdalenek i jego możliwa przemiana z wyłączeniem Tow. Dobroczynności. — Przyczepiona do niego kasa literacka i potrzeba połączenia jej z kasą Mianowskiego. — Zawstydzenie Warszawy przez p. Oberpolicmajstra. — Rejestr firmowy i jego wzbogacenie się na polu artystycznem. — Elda i Sara Bernard. — Podarek dla Herodyady. — Sprostowanie.

W tem Wojski krzyknął: „Wyczha!“ Zając smyk z za płotu
Na łąkę; charty za nim; i wnet bez obrotu
Sokół i Kusy razem spadli na szaraka
Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
I zęby mu, jak szpony, zatopili w grzbiecie,
... .już leży bez ducha,
A charty mu sierść białą targają z pod brzucha.

Wojskim był p. Rosenblum, Sokołem *Kuryer Warszawski*, Kusym *Kuryer Codzienny*, szarakiem zaś biedne Towarzystwo Dobroczynności, któremu niemiłosiernie wyskubano „odpowiedzialność moralną.“ Właściwym winowajcą tych łowów jest nietylko p. Rosenblum, ile znany ze swego wtrącania się w nieswoje rzeczy p. Bolesław Prus, który naprzód wyrwał się z projektem kas rzemieślniczych, a teraz zawzięcie „targa sierść białą“ Tow. Dobroczynności. Gdyby nie ten psotnik, siedziałoby ono sobie w warzywie i ogryzało zielone gałązki jałmużny. Tymczasem dziś zabrnęło w kłopot, w którym mu każdy dla wyratowania się rzuca tylko... brzytwę. Nadewszystko co począć z nieszczęsną „odpowiedzialnością moralną,“ która świętej mizeryi nieopatrznie z ust się wyśliznęła? Tak to się zdaje, ale łatwiej wyprać się z grzechu niż z śmieszności, która nie puszcza... Nawet dobroduszny kronikarz *Kuryera Codziennego* najgrawa się z Towarzystwa, mówiąc, że o tem, ażeby kto nie chciał dać pożyczki, słyszał, ale o tem, ażeby kto nie chciał brać, gdy mu pożyczają, nie słyszał. Chciałbym ja serdecznie obronić to ciało od szpilkujących go złośliwości i dla tego wnoszę do izby dziennikarskiej następującą rozolucyę: prasa uznając odwagę Towarzystwa w usunięciu się od „odpowiedzialności moralnej“ za pożyczki z zewnątrz dla kas rzemieślniczych zaciągnięte i rozweseliwszy się jego szczerością — przechodzi do porządku dziennego.

Ale, niestety, na tym porządku dziennym stoi druga podszargana sprawa. W poprzednim numerze *Prawdy* wspomniałem o żałosnej odezwie hr. Al., wzywającego litości a raczej wsparcia dla „Magdalenek.“ Otóż kilka pism bardzo słusznie zapytało: a kto są owe „Magdalenki?“ jaki zakład? kto go prowadził? jak nim kierował? Ile razy dzienniki chciały zajrzeć do tej instytucyi, zawsze im nos przycinano odpowiedzią, że nikt nie ma prawa wtrącać się do zakładu, który pani hrabina za własne pieniądze stworzyła i utrzymuje. Dopiero dziś, gdy owa pani hrabina już nie żyje a druga równie dobroczynna się nie znalazła, dalej w prośby do ogółu. Bezwątpienia kierownikom zakładu należy się ostra przymówka, nie wyłącza to wszakże ani obowiązku, ani potrzeby zajęcia się jego losami. Owszem, skorzystajmy ze sposobności i weźmy w spadku po hrabiach instytucyę, ale zróbmy ją prawdziwie społeczną. Nie jestem wcale czcicielem tego rodzaju klasztorów, które dają przytułek pokutnicom, ale utrwalają pamięć ich upadku i zmazują go klepaniem pacierzów. Gdyby powstał taki moralny przyrząd ratunkowy, któryby wydobywszy nieszczęśliwe z toni, nie pokazywał ich w osobnej klatce, lecz obmywszy z błota, oddał czyste społeczeństwu — czciłbym ten aparat bardzo. Zakład Magdalenek takim przyrządem nie jest — jest to najzwyklejszy zakon, w którym rozpustnice przemieniają się na mniszki. Pomimo to wszakże, gdy dla pewnej liczby kobiet mamy do wyboru: dom hańby lub dom pokuty, musimy wybrać ostatni. Cała więc filozofia tkwi w tem zagadnieniu: ponieważ zakład Magdalek jest złem koniecznem, co należy zrobić, ażeby on stał się dobrem możliwem? Że nie dość kłuć w oczy hrabiom wymówkami, że potrzeba zbadać ustawę zakonu, postarać się o zmianę jej, jeśli jest ułomna, powierzyć kierownictwo zakładu w ręce pewne i zaopatrzyć go w środki — rzecz prosta. Tylko na litość nie powierzajmy Magdalenek Towarzystwu Dobroczynności, bo znowu narazimy jego „odpowiedzialność moralną.“

Pragnąc z niego zdjąć wszelkie ciężary, poważam się do porządku dziennego wprowadzić jeszcze jeden wniosek. Przed kilku laty, jeśli się nie mylę, za sprawą i z kieszeni p. J. Blocha utworzono przy Towarzystwie Dobroczynności kasę literacką, która otoczywszy się wiankiem bardzo pokaźnego komitetu, smacznie i głęboko zasnęła. Ponieważ świeżo powstała Kasa imienia Mianowskiego z osobną, od „moralnej odpowiedzialności“ wiadomego Towarzystwa niezależną ustawą, czyby więc nie można było przelać do niej funduszów tam zebranych i bezczynnie spoczywających? Członkowie komitetu, którzy nie mają sposobności spełniania swego urzędu, powinniby raz pod „moralną odpowiedzialnością“ Tow. Dobr. zebrać się i o tej sprawie pogadać, tembardziej, że podobno mają w ustawie artykuł, przewidujący rozstanie się z macierzą i poślubienie nowej, samodzielnej instytucyi. Wielmożne *Kuryery* w miejscu, jako bliższe boku fundatorów i rządców kasy literackiej, zechcą łaskawie ich uszczypnąć i obudzić.

P. Oberpolicmajster warszawski nietylko nas uszczypnął, ale natopił laku na nasze sumienie, ażeby je wyprowadzić z letargu. W ogłoszonej niedawno odezwie skarży się naczelnik policyi, że chcąc odpowiedzieć potrzebom mieszkańców, objawił w swym organie gotowość przyjmowania wszelkich żażaleń, którym przyrzekł natychmiastowe zadośćuczynienie. „Niestety—powiada — w ostatnich czasach odbierałem anonimy, pisane nietylko na urzędników policyi, lecz nawet na osoby prywatne.“ Niedość tego: „skargi te *po większej części* okazują się albo zupełnie fałszywe, albo przesadzone do ostateczności.“ Wstydź się Warszawo, albo raczej — wstydźcie się w niej ukryte gady, które szukacie zemsty na bliźnich w fałszywem oskarżaniu ich przed policyą. Czy wiecie, że to jest paskudnie, że to jest niegodziwie? A jakże musi was być wiele, skoro aż Oberpolicmajster musi wasze żądła publicznie deptać.

Na inne robaczki, niemniej szkodliwe postanowiono wreszcie przygotować według zagranicznej recepty proszek, znany pod nazwą „regesru firmowego.“ Jak wiadomo, nasz handel, dzięki poszanowaniu tradycyi w tej dziedzinie, stanął na tak silnej podstawie, że najmniejsze trzęsienie finansowe wali w gruzy jego na pozór niewzruszone gmachy. Upadłość stała się rzeczą tak zwykłą, jak dyskontowanie weksłów. Korzystając z braku jakiejkolwiek kontroli handlowej, drobne firmy uprawiają niwę bankructwa bez żadnej przeszkody. Kandydat na oszusta zakłada sklep i przez pewien czas płaci akuratnie swe zobowiązania. Gdy już udaną sumiennością należycie rozszerzy sobie kredyt, zawiesza wypłaty a dla zabezpieczenia się przed komornikiem tylko... zmienia firmę na szyldzie sklepu. Nie *Josek*, ale *Mendel*— i już bezpieczny. Otóż poważni przedstawiciele handlu i przemysłu, chcąc położyć tamę tym doraźnym chrztom, ubezpieczającym oszustwa, wystąpili za pośrednictwem Komitetu Giełdowego z prośbą do Jenerał Gubernatora o wyjednanie „regestru firmowego.“ Jest to spis firm, w którym ich nazwisk bez upoważnienia izb handlowych i kupieckich zmieniać nie wolno. Że ten brzydki wynalazek niepodobna się naszym bankrutom *in spe*, przekonywać nie potrzebuję; ale czy oni nie wynajdą jakiegoś wytrycha do otwierania nowego zamku, nie — ręczę. Wyobraźnia oszustów przerasta swem bogactwem najbujniejsze imaginacye powieściopisarzów i dramaturgów.

Do regestru firmowego naszej sztuki malarskiej zapisało się znowu kilka imion. Na konkursie petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych wielkie medale złote otrzymali dwaj polacy: Stefan Bakałowicz i architekt Stefan Szyller. Mały medal złoty dostał się również polakowi M. Kotarbińskiemu. Brawo! To mi dowód wyższości naszej nad innymi narodami, ale nie śmieszne kwiatki nieuzasadnionej pychy, które sobie nieraz przypinamy. To duma, to nabytek więcej wart, niż cała fura codziennych tryumfów aktorskich z Sarą Bernard od święta.

Uroczystość tej litościwej dla nas bogini będziemy obchodzili niedługo za 3,000 rs. od jednego pokazania się. Dla pokrycia tego hołdu głupi lub bogaci czciciele będą musieli płacić 15 rs. za krzesło a 60 rs. za lożę. Chociaż nie zająłem wobec dyrekcyi teatralnej żadnego „stanowiska,“ wyznam jej otwarcie, że po wystawieniu *Eldy* i sprowadzeniu jej ojca, mogła byłaby wstrzymać się na jakiś czas od strzelania bąków i mordowania swej biednej kasy. 3,000 rs. za jeden występ Sarze Bernard, którą miałem szczęście podziwiać w Paryżu za 5 franków i drugi raz tej przyjemności nie łaknę — to doprawdy przypomina wiersz o Heryodyadzie:

Sie tantzt mich rasend, ich werde toll,
Sprich Weib, was ich dir schenken soll?
Heda! Trabanten, Läufer!
Man schlage ab das Haupt dem Täufer!

Kto tak śpiewał, nie wiem, ktoś jednak śpiewać musiał, skoro Sara Bernard u nas występować będzie. Że 3,000 rs. od jednego wieczoru równa się ucięciu głowy kasie — obliczono.

Przez szacunek dla prawdy winienem prefektowi gimnazyum bialskiego małe sprostowanie. Przed kilku miesiącami, na podstawie skargi kilku czytelników, zdziwiłem się na tem miejscu, że ks. Szyszkowski nie korzysta z prawa uczenia religii katolickiej po polsku. Obecnie dowiaduję się z wiarogodnego źródła, że prawo to nie obejmuje gimnazyum bialskiego, a ks. Szyszkowski robi to, co mu przepisano.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Nowa szkoła kosztem włościan. —Nieobjaśniony udział dworu. — Zwycięztwo synów Marsa i Bachusa nad Wenerą i Kupidynem w Zofijówce. — Westchnienie do Trembeckiego, nieobowiązujące p. H. Swaryczewskiego. — Pomyłka współpracownika *Gaz. Lubelskiej*, który na wszystko zwraca uwagę. — Orzeczenie Zjazdu kaliskiego w sprawie języka polskiego.

Oprócz nieodłącznych od naszego życia rozbojów, pożarów i zaprowadzania straży ogniowych, mamy do zapisania kilka objawów, dodatnich lub ujemnych, dostrzeżonych przez naszą prowincyonalną *perspektywę*. Naprzód to, co nas zawsze najbardziej cieszy— oświata. Mieszkańcy Wrzeszczowa, Woli Wrzeszczowskiej i kilku okolicznych wsi postanowili jeszcze 2-go marca założyć wspólną szkołę w Wrzeszczowie. Delegacya włościańska udała się z prośbą do naczelnika dyrekcyi naukowej w Radomiu, który słusznie to żądanie zatwierdził. W doniesieniu pism warszaw-

skich czytamy, że powyższa uchwała zapadła „w obecności“ dziedziców i dziedziczek folwarków, a nie dowiadujemy się wcale, czy szanowni dziedzice i dziedziczki przyłożyli się jakimś datkiem do założenia szkoły. Objaśnienie to byłoby bardzo potrzebnem, co najmniej do zrozumienia, z jakiego powodu uczczono publicznem ogłoszeniem nazwiska osób, tyle tylko w tej sprawie zasłużonych, że „w ich obecności“ ona się spełniła. Przy każdej nowopowstałej szkole chwalebnym i pożądanym jest udział nietylko chat, ale i dworu.

Gdy jedni tworzą, drudzy, ażeby także nie próżnować, niszczą. Korespondenci petersburskich *Nowosti* i warszawskiego *Echa* opowiedzieli nam ciekawą historyę wandalizmu, któremu uległa założona przez Szczęsnego Potockiego w Humaniu a przez Trembeckiego rozsławiona *Zofijówka*. Jest to, a raczej był to, jak wiadomo, piękny ogród, ozdobiony dziełami sztuki. Otóż synowie Marsa i Bachusa, nie pomnąc na związki dawnego Olimpu, postanowili zdruzgotać posągi Wenery i Kupidyna. Naturalnie w walce tej odnieśli po pijanemu zupełne zwycięztwo, które po trzeźwemu musieli opłacić karą 500 rs. za wynagrodzenie zrządzonych szkód. Kara nie suwa, jeśli zważymy, że jeden posąg Wenery miał kosztować 4,000 czerw. zł. Czemuż Trembecki nie przeczuł tych pijackich figlów, byłby przynajmniej na rachunek odwagi wypłacił bohaterom kilka odpowiednich w swym poemacie wierszy. A on takie pochwały rymować umiał!..

Daleko lepiej niż p. H. Swaryczewski swoją „Wojewodzinę“ w *Gaz. Lubelskiej*. Nietylko bowiem *odpowiedzi* rymuje z *zapowiedzi*, *rozważy* z *odważy*, *dziewicy* z *rodzice*, ale nawet *intencyą* z *chęcią*. A jednakże te poetyczne niepowodzenia p. Swaryczewskiego są cnotą w porównaniu z grzechem, jaki *Gaz. Lubelska* nieopatrznie popełniła. Jeden z jej współpracowników, który „zwraca uwagę na wszystko, co go otacza,“ nie zwrócił uwagi na to, że znaleziona przez niego i przedrukowana w *Gazecie* suplika frankistów do Augusta III, zawierała głoskę *s*, którą on, uwiedziony podobieństwem dawnej pisowni, wziął za *f* i ogłosił takie dziwolągi: „Tę u nóg Wa*f*zey Królew*f*kiey Méi Pana Na*f*zego Naymiłościw*f*zego pokorną Suplikę *f*kłada.“ Chęć zachowania podobizny błędu nie tłomaczy, bo naprzód *s* nie posiadało, jak obecne *f*, wyraźnej kreski, a powtóre należałoby wszystkie inne głoski odpowiednio naśladować. Nikt też w ten sposób dawnych pism nie przedrukowywa i nie nasuwa zwykłym czytelnikom domysłu, że przed wiekiem polacy mówili: je*f*t, w*f*zy*f*tkie, na*f*za, wa*f*ey i t. p.

Nie dziwiłbym się wcale, gdyby który z czytelników *Gaz. Lubelskiej*, chcąc się trzymać tradycyi, nakropił tą pisownią skargę do sądu pokoju. Wtedy zgodzilibyśmy się na rozporządzenie Zjazdu kaliskiego, który w nieszczęsnej i tylokrotnie rozjaśnianej kwestyi języka polskiego tak orzekł: „Przychodzące z apelacyi sprawy przez Zjazd sędziów pokoju, nasunęły mu uwagę. że sądy gminne często przyjmują prośby i dowody pisane w polskim języku. Mając na względzie, że przy rozpatrywaniu próśb i dowodów, pisanych w polskim języku, zjazd niemało napotyka trudności, dla uniknięcia takowych zgodnie ze swojem rozporządzeniem, niniejszem sądy gminne objaśnia, aby te przyjmując dowody, prośby, odezwy i skargi, pisane w polskim języku, żądały tłomaczeń dowodów; co się zaś tyczy próśb, odezw i skarg, te mogą być podawane w języku polskim, z tem jednak zastrzeżeniem, aby w wypadku małego wykształcenia osób, podających takowe, sądy obowiązane były treść ich w oddzielnym protokóle w języku rosyjskim napisać.“ Wtedy istotnie bez tłomaczeń obejść się byłoby nie podobieństwem.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 listopada.

Gambetta musi zgryść twardszy orzech, niż pierwotnie przypuszczano. Jego „wielkie ministeryum“ dobyło się z łona lewicy nader powoli, a co ważniejsza ze znakami niedługiego życia. Jest to dość naturalnem. Lewica, mimo swej jedności, składa się z wielu różnorodnych żywiołów, z których każdy pragnąłby być szczodrze obdarowany tekami przez nowego prezesa gabinetu. Nadto ów prezes zbyt wiele budzi zazdrostek, nienawiści i dąsów, zbyt oryginalny prawdopodobnie stawia program, ażeby jedni nie utrudniali mu zadania intrygą, a drudzy odmową. Stąd też słyszymy, że powołani przez niego mężowie stanu doświadczeni, jak: Say, Freycinet, Ferry i t. d. ofiarowanych stanowisk nie przyjęli, inni znowu plują na wschodzące słońce w nadziei, że je zagaszą. Wobec tego Gambecie pozostawała jedna tylko droga, którą się chwycił: wybrał przeważnie ludzi zdolnych, ale *nowych* i młodych, z którymi śmiało na burzliwe a raczej sztucznie wzburzone morze śmiało się puści. Za pewną przez dzienniki ogłoszona lista ministrów podaje: Gambetta (prezes) sprawy zagraniczne; Waldeck-Rousseau — wewnętrzne; Paweł Bert— oświata; Allain-Targé skarb; Campanon wojna; Gongeard marynarka; Reynal budownictwo; Deves rolnictwo; Rouvier handel i kolonie; Casot sprawiedliwość; Cochery poczty, Proust sztuki. W składzie więc tym znajduje się kilku ministrów z poprzedniego gabinetu, inni są ludzie świeżego werbunku. Jeden z nich, mianowicie Bert, jest czytelnikom *Prawdy* bardzo dobrze znany. Że nieprzychylne rządowi gazety francuskie ciskają błotem na całe to grono, wcale nas dziwi; dlaczego wszakże odpryski złości widzimy na stronicach naszych dzienników, pojąć można tylko wtedy, jeżeli uprzytomnimy sobie sposób *robienia* w naszych pismach polityki. Tłomaczy się bez krytyki artykuły gazet zagranicznych — i pogląd redakcyi gotowy. Jeżeli źródło czyste, pogląd będzie czysty, jeżeli zmącone—zmącony. Nie pierwszy to i nie ostatni raz prasa nasza odbija ślepo echa obcych i niepodzielanych przez nią waśni. Sądząc chłodno, niezawodnem jest to, że jeśli do obecnego gabinetu francuskiego nie weszli ludzie, którzy się w nim znajdować powinni, winien temu nie Gambetta, który ich powołał, ale oni, bo wezwania tego nie przyjęli.

W Niemczech przygotowuje się jakaś straszna, dotąd w swym kierunku i sile nieznana burza. Lew pruski, wyruszony z warzińskiej kotliny złowrogim rezultatem wyborów, przybył do Berlina, porozumiał się z cesarzem i przygotowuje jakąś bombę, która ma pęknąć po utwarciu sejmu i zmiażdżyć wrogów kanclerza. Czy to będzie ustąpienie z posady kanclerskiej, czy związek z ultramontanami i zniesienie praw majowych — dotąd nie wiadomo. Ta ostatnia możliwość najwięcej budzi trwogi. Istotnie, spełnieniem tej groźby Bismark ukoronowałby swoje gospodarstwo wewnętrze. Przeprowadzić prawa po to jedynie, ażeby zdręczywszy niemi naród przez lat kilka, znieść je dla dogodzenia swej osobistej zemście — doprawdy byłoby niegodnem rozumnego, a cóż dopiero genialnego męża stanu. Albo ustawy majowe są dobre, i w takim razie należy je utrzymać, albo złe — i wtedy należało ich nie tworzyć lub zaraz po doświadczeniu udusić. Nawet kosztem tej jednak ofiary dla środka (*centrum*) kanclerz niemiecki nie kupi sobie większości w sejmie, gdyż wszystkie grupy zachowawcze dadzą mu co najwyżej 170 członków — przypuściwszy, że wszystkim podobają się jego plany ekonomiczne.

Rząd serbski odważył się na niespodziewany krok: usunął metropolitę Michała, opierającego się jego woli. Gazety rosyjskie przyjęły stronę metropolity, który ma być obdarzony jakąś godnością w Rosyi.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Warszawie z rozporządzenia jenerał-gubernatora utworzone zostały przy Oberpolicmajstrze komisye, mające na celu ułożenie budżetu przytułków dla chorych i obłąkanych przy aresztach policyjnych.

— 34 magazynów wojskowych w Cesarstwie i Finlandyi zostało zniesionych przez ministra wojny na przedstawienie głównego intendenta armii. Na przyszłość wojska będą zaopatrywane bezpośrednio przez dostawców.

— Nietylko do Ameryki północnej, ale i do południowej przybywają corocznie liczne drużyny wychodźców europejskich. W r. 1880 do Rio Janeiro przybyło ich 22,859; a w tej liczbie włochów, 8606 portugalczyków, 2385 niemców, 1254 hiszpanów, 384 polaków, 294 austryaków, 240 francuzów. Największa część wychodźców osiada w prowincyach południowych, bardziej umiarkowanych niż północne, więcej zbliżone do równika.

— Naczelny redaktor *Berliner Boersen Courrier*, Frenkel, został skazany przez sąd kryminalny berliński na 1½ roku więzienia za obrazę kanclerza Bismarka, ministra Majbacha, oraz Blankenburga i Korna redaktora i wydawcy *Schlesische Ztng* z Wrocławia. Jednocześnie w obawie, by Frenkiel nie uciekł, wydano rozkaz natychmiastowego uwięzienia go. Frenkel apelował do wyższej instancyi. Redakcyę tymczasowo objął M. A. Klausner.

— W Warszawie przy cyrkułach policyjnych otwarte zostały izby ogrzewane dla biednych; podczas mrozu od 5-ciu stopni wydawana w nich będzie ciepła herbata z chlebem.

W Akademii Umiejętności w Krakowie na posiedzeniu komisyi dla historyi sztuki dnia 3-go b. m. przewodniczący profesor Łuszczkiewicz wykazał na licznych rysunkach pomiarowych, zdjętych tego roku w Wąchocku, system konstrukcyjny klasztornego kościoła, który uważa jako najwyższe rozwinięcie zasady kiełkującej w innych naszych cysterskich budowlach XIII wieku. Liczne lokalności klasztorne romańskie znalazły się w tem opactwie; w szczególności oglądano rysunki refektarza, kapitularza, ogrzewalni i dormitarza, i zastanawiano się nad ich piękną ornamentacya w kamieniu kutą. Następnie sprawozdawca przeszedł do opisania stanu opactwa w Jędrzejowie i zwrócił uwagę na niektóre zabytki zbadane przez niego w Gnieźnie i Poznaniu, a odnoszące się do malarstwa średniowiecznego i architektury. W dyskusyi zabierali głos pp. Paweł Popiel, prof. Odrzywolski i prof. Łepkowski.

Szkoły. Inauguracya roku szkolnego w lwowskiej szkole politechnicznej, odbyła się d. 14 b. m. w sposób uroczysty, w obecności namietnika Alfreda hr. Potockiego. Ustępujący rektor, p. Franke, zdał sprawę z ubiegłego roku.

Zaznaczywszy, że z rokiem tym skończyło się pierwsze dziesięciolecie wykładów polskich w politechnice, zebrał mówca główniejsze fakty z naukowej działalności tej instytucyi. Na początku r. z. zapisało się do szkoły politechnicznej 216 słuchaczów, a między nimi 67 nowo imatrykułowanych. Na wydział inżenieryi uczęszczało 96, na wydział budownictwa 30, na wydział budowy machin 54 a na wydział chemii technicznej 36. Z zapisanych było 198 krajowców i 18 obcokrajowców; pod względem narodowości: 208 polaków, 7 rusinów, 1 niemiec. Z końcem półrocza zimowego ubyło 25 słuchaczy. Czesne w obu półroczach wynosiło 2,300 złr., a kolegium profesorów tak obszerny robiło użytek z prawa uwolnienia od czesnego, że niewątpliwie ani jeden słuchacz nie stracił możności uczęszczania na wykłady z powodu braku środków materyalnych. Tegoroczne egzamina okazały znakomity postęp młodzieży, a wystawa prac była dowodem pomyślnego rozwoju samodzielności w opracowaniu danych tematów. Słuchacze wydziałów inżenieryi i budownictwa odbyli wycieczkę w lipcu do Krakowa i je-

go okolic, a przedmiotem ich studyów były liczne górotwory tych okolic; słuchacze ostatniego roku inżenieryi zwiedzili drogę żelazną z Tarnowa do Krakowa, liczne roboty wodne na Wiśle pod Krakowem, linię Kraków-Dziedzice i Bielsk-Żywiec, tudzież fabryki w Bielsku i Białej. Słuchacze budowy machin zwiedzili warsztaty i fabryki we Lwowie i okolicy, a we wrześniu odbyli wycieczkę do Pragi. Wydział Krajowy asygnował pewną kwotę na urządzenie tych wycieczek. Podniósłszy wzorowe zachowanie się młodzieży w ciągu roku szkolnego, przechodzi mówca do zmian w gronie nauczycielskiem. Profesorowie nadzwyczajni pp. Rychter i Juliusz Bykowski zostali mianowani ordynaryuszami; wykłady chemii objął po dr. Godlewskim dr. Wawnikiewicz. Z grona docentów wystąpili pp.: dr. S. Syrski i B. Abakanowicz, w skutek czego poroczono wykłady zoologii dr. L. Petelenzowi, a wykłady mechaniki budowniczej p. M. Thulliemu. Pan K. Skibiński habilitował się jako docent prywatny do wykładów mechaniki budowniczej i statyki wykreślnej a p. H. Strzelecki przypuszczony został do wykładów leśnictwa. Asystentami zostali mianowani: pp. Karol Stelzer, Mrozowski, Bron. Pawlewski, Marceli Pilecki; z posady asystentów ustąpili pp.: Wł. Gozdowski, Fr. Skowron, M. Maślanka, K. Stelzer. Ministerstwo oświaty przyznało nadzwyczajną dotacyę 1,500 złr. dla biblioteki, 1,000 złr. jednorazowej subwencyi na wyposażenie zbiorów katedry budownictwa i 3,400 złr. na urządzenie obserwatoryum astronomicznego. Kolegium profesorów zajmowało się sprawą zaprowadzenia wykładów rolnictwa i leśnictwa w politechnice a wnioski w tej sprawie przedstawiono rządowi. Zwracano także uwagę rządu na potrzebę zaprowadzenia wykładów ekonomii społecznej i uzupełnienia sił nauczycielskich na wydziale budowy machin przez ustanowienie posady adjunkta przy katedrze budowy machin.

Po tem sprawozdaniu, nowy rektor, p. Zacharyewicz, miał odczyt pod tytułem: *Kilka uwag o sztuce narodowej.*

Nauki. Przy ujściu rzeki Leny w tak zwanej Nowej Syberyi założono stacyę meteorologiczną, na co ministerium spraw wewnętrznych wyznaczyło 14,000.

— Włodzimierz Spasowicz miał odczyt w petersburskiem Towarzystwie prawniczem „O nowem prawie prasowem we Francyi."

— Studenci Instytutu gospodarstwa wiejskiego i rolnictwa w Puławach ogłosili konkurs na napisanie dziełа dla ludu, którego treścią ma być „Uprawa roli i roślin popularnie wyłożona;" nagroda za najlepszą pracę wynosi rs. 150, przyczem wydana ona zostanie kosztem ogłaszających konkurs.

— Katedrę języka japońskiego, zaprowadzoną przy uniwersytecie peterburskim, objął Keneke-Ando japończyk, niegdyś sekretarz poselstwa japońskiego w Petersburgu.

Przemysł handel i komunikacye. Popłoch wywołany wczesnem nastaniem zimy w Rosyi jeszcze nie przeszedł; niezmierne masy zboża nagle w pośrodku drogi w lodach zawięzły. Za samym tylko Niżnim Nowohrodem zatrzymano 600,000 czetwierti żyta, przeznaczonego za granicę. W danej chwili wywóz ogranicza się tylko wyłącznie do pszenicy, handel zaś innymi gatunkami zboża z zagranicą zeszedł do szczupłych rozmiarów. Nagły ten zwrot oddziałał nietylko na wywóz, ale i na stosunki i ceny wewnętrznego targu zbożowego.

— Na skutek starań obywateli z Pińczowskiego, Stopnickiego i Miechowskiego oraz przywódców kolei iwangrodzko-dąbrowskiej prowadzą się studya na gruncie w celu zmiany pierwotnie zmierzonego kierunku tej kolei na Pińczów i Miechów, zamiast na Chęciny i Jędrzejów.

— W Zgierzu spaliła się fabryka kortów S. L. Marguliesa; straty wynoszą rs. 100,000.

— Rybołówstwo na Wołdze ciągle się zmniejsza w skutek nadużyć przy połowie. Największy błąd leży w tem, że w przepisach rosyjskich o rybołówstwie nie ma prawideł co do wielkości sieci a właściciele większych rybołówstw pozwalają sobie bardzo często zagradzać całą szerokość odnogi, przez którą ryby płyną do Wołgi. W roku zeszłym kozacy astrachańscy złowili 27,080,000 sztuk, w roku zaś bieżącym zaledwie 9,870,000, a zatem o 17,210,000 mniej, pomimo znacznego ułatwienia handlu w skutek zniesienia akcyzy od soli.

— W Hadze odbyła się konferencya międzynarodowa w sprawie połowu ryb na morzu Północnem. Rozprawy tyczyły się głównie środków zapobiegania różnym nadużyciom.

— Pod Kronsztadem morze u brzegów pokryło się już cienką warswą lodu.

— Żegluga parowa na Wiśle pod Puławami wstrzymana została z powodu kry, która się ukazała na Wiśle.

— P. Poletika, były redaktor *Molwy*, staje na czele przedsiębiorstwa, mającego na celu podniesienie przemysłu i handlu naftowego w Rosyi.

— Inżenier Balukiewicz wynalazł nowy sposób sygnalizacyi na kolejach. Próby, robione z przyrządem na kolei Petersbursko-Moskiewskiej, dały wyborne rezultaty.

Sztuki piękne. Przy petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych zakładają muzeum sztuki nowożytnej, złożone z oryginałów i kopij.

Literatura polska. Lenartowicz ukończył cztery nowe poematy: *Król Jan, Kościuszko w Szwajcaryi, Dakowie* i *Piekielni*. Pierwsze dwa drukują się we Lwowie.

— Bibliografia polska p. t. *Katalog nowych książek* Nr. 7 wyszła z druku i jest do odebrania w znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

— *Przegląd techniczny* przeszedł na własność p. Władysława Kronenberga.

Teatr. Sołowiew, profesor Akademii Muzycznej, napisał operę komiczną *Chatka w Kołumie*, przeznaczoną dla wystawienia w petersburskim Teatrze Maryjskim.

— We Lwowie grają obecnie z powodzeniem nową sztukę A. Urbańskiego p. t. *Kątem.*

— W Warszawie w Teatrze Wielkim przedstawiono po raz pierwszy operę *Elda* p. Catalaniego, która jest dość słabym dramatem lirycznym wagnerowskiego pokroju.

Nekrologia. Augustyn Dubrunfant, znakomity chemik zmarł 7 października w 85 roku życia. Specyalnością uczonego było cukrownictwo, które uprawiał teoretycznie. Dubrunfant dokonał na tem polu wiele wynalazków, które dziś stosują się praktycznie we wszystkich doskonalszych cukrowniach. W ostatnim czasie starzec zaczął się oddawać badaniom nad długowiecznością. Zmarł nagle w skutek wybuchu gazu.

— W Lipsku zmarł 2 listopada Jan Napomucen Bobrowicz, pisarz i znany wydawca *Biblioteki pisarzów polskich*, w wieku lat 76.

— Zamiatuin, jeden z najdzolniejszych i najzasłużeńszych pracowników rosyjskich, członek rady państwa, zmarł nagle, gdy wygłaszał mowę uroczystą na zebraniu wychowańców liceum prawnego. Przyjmował on czynny udział w przeprowadzeniu różnych reform sądowych.

— Na cmentarzu starozakonnych d. 6 listopada odsłonięto kamień grobowy ze składek publicznych Danielowi Neufeld, redaktorowi *Jutrzenki* i tłomaczowi Pięcioksięgu Mojżesza.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Janowi M. w Gąbinie. Numery *Prawdy* wysłane. Dodatku do kwartału II (*Kwestya polska*) w pojedyńczych arkuszach już nie mamy, tylko w całej książce, która kosztuje rs. 1. *Historya filozofii mat.* Langego rs. 6 kop. 75.

— *P. W. Głębockiemu w Berezówce.* Sprawdziliśmy. Powodem omyłki było to, że poczta odsyłała numery do *stacyi* Berezowka, która nie uznała za stosowne uwiadomić nas, że tam adresata nie ma. Jest to jeden z niezliczonych rysów tej sławetnej instytucyi, która podobieństwa dla siebie napróżno by szukała w całej Europie. Wszystkie zatracone numery posyłamy ponownie.

P. Adamowi Zakrzewsk. w Petersburgu. Wysłano ponownie. Wydawca Langego zawiadomi Pana co do tej książki osobno. Ile razy Panu przyjdzie chęć poskarżenia się na nas, niech Pan sobie przypomni, że wysyłamy pismo... pocztą.

Dr. I. I. Czarn. w Moskwie. Prenumerata pańska za kw. IV nieopłacona. Numery zaległe wysłaliśmy.

P. Alfowi. Już dziś zbyteczne.

P. Adamowi Mahrburgowi. O co Panu idzie, nie wiemy. Zamiast ścisłości naukowej, znajdujemy tylko naukowe kapryszenie.

P. X. A. H. w P. Ujednostajnienie zakończenia przymiotników męskich, bez względu na ich żywotność lub nieżywotność, uważamy za racyonalne i dla tego je zachowujemy. Jeżeli tylko bowiem rzeczownikowi nieżywotnemu nadajemy *rodzaj*, tem samem niejako uosabiamy go — a więc rozróżnianie w przymiotnikach jest zbyteczne. Co do łamania wyrazów — trzeba się stosować do warunków technicznych. Na niektóre ze wskazanych przez Pana przedmiotów zwrócimy uwagę, nie chcemy jednak ani wołać na puszczy, ani dowodzić rzeczy dowiedzionych. Numerów nie możemy Panu posłać, ani listem odpowiedzieć, gdyż nie możemy odczytać pańskiego podpisu a w książce prenumeracyjnej odnaleźć podobnego nazwiska.

P. St. Telszewskiemu. Bobrzyńskiego lub Szujskiego. Pierwsza (w 2 tomach) właściwsza.

P. I. K. P. w Tlewie. Początek dobry — reszta słaba, a przynajmniej znacznie słabsza.

P. Lebasowi. Odpowiedź na pytania Pańskie przeszłaby zakres naszych w tem miejscu objaśnień. Ogólnie tylko odpowiedzieć możemy, że człowiek dziedziczy, tj. przynosi z sobą na świat *możliwości* późniejszych stanów psychicznych. Możliwości te rodzą owoce odpowiednie warunkom życia i wychowania. Gruntownie i wyczerpująco objaśnia tego rodzaju zagadki Ribot w dziele *L'hérédité.*

P. Kazimierzowi H. z K. Wiersz nie dla nas.

P. Smiełkowowi w Petersburgu. A któż to krwawe doniesienie przeczyta?

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.